

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 28 (1816) • 11–17 lipca 2025



ODYSEJA POLITYCZNA



nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE Tygodnik NIE

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237 Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

WOJNA DOMOWA

♣ Szymon Hołownia oburzył koalicjantów, albowiem nie dość, że spotkał się z Kaczyńskim, to jeszcze zrobił to u Bielana w domu, w towarzystwie Miśka Kamińskiego. To się chyba w sportowym języku nazywa hattrick. I mało tego, zadzwilił z oburzonej: „Wzmożenie i eskalacja związana z moim wczorajszym spotkaniem nie jest ani uzasadniona, ani wskazana”. Tomasz Zimoch, znany głównie z komentowania meczów ekstraklasy, przez Hołownię awansowany na członka Krajowej Rady Sądownictwa, namiętnie zaprotestował w socialmediach: „Nie ma wytłumaczenia tego, co się stało. Upokarzające są słowa, że »ekscytacja nie jest uzasadniona ani wskazana«. Jest ! ! ! ! !”. Po „jest” nastąpiły trzy pary czerwonych wykrzykników. Może wyrwać człowieka z dziennikarstwa sportowego, ale dziennikarstwa sportowego z człowieka – nigdy.

♣ Za swoje wykrzykniki Zimoch został zaledwie zawieszony; za to posłanka Bodnar (zbieżność nazwisk przypadkowa) ogłosiła, że odchodzi z partii Polska 2050, albowiem „miała nieco inne wizje tego, w którym kierunku partia powinna zmierzać”, bo trzeba „zewrzeć szyki, grać jako jedna drużyna, wiosłować w tym samym kierunku”, gdyż „jak wszyscy wiosłują w tym samym kierunku, to statek płynie, a jak każdy wiosłuje w swoim, to ten statek kręci się w kółko”. Na tym bogactwo metafor pani poseł Bodnar się nie wyczerpało: było jeszcze o „wprowadzaniu pod strzechy Prawa i Sprawiedliwości”, a także o „wprowadzaniu PiS na salony polityczne”. Pragniemy z tego miejsca zaapelować do pani poseł Bodnar, żeby opanowała swoje synekdochy. Albo strzechy, albo salony. Razem będzie tajno na dywanie.

♣ Niezłomnie bronimy 53 przejść granicznych z Niemcami i 13 z Litwą – pochwalili się minister Siemoniak wraz z wicepremierem Kosiniakiem-Kamyszem. Zainspirowany przez tyse i wydziergane – czyli niby różowo-sine, acz w istocie rzeczy brunatne – brygady Bąkiewiczza, rząd zamknął granice z Europą, a przynajmniej jej częścią (Czechom i Słowakom się upiekło). Rozczulił nas szef MON, który wyraźnie uważał, że jest bardzo przebiegły, kiedy wyzwał bąkiewiczowców (bąki?) do zaciągania się do oficjalnych służ mundurowych, „jeśli spełniają wymogi”: „ktokolwiek chce chronić polskie granice, od świtu do nocy, na wschodzie, zachodzie, na południu, na morzu – jest do tego miejsce, jest do tego przestrzeń. Naprawdę: będziecie zawsze bohaterami, bo kto nosi mundur z biało-czerwoną na ramieniu, jest bohaterem na starcie”. Czy ktoś może wytłumaczyć temu chłopięciu, któremu staje na widok ołowianych żołnierzyków, że „bohaterem na starcie” to może zostać, jak sobie kupi kredyty w grze komputerowej – a w realu świat jest trochę bardziej skomplikowany?

♣ Marcin Horala został bohaterem na starcie, bo przedał się na teren wroga, do Tefalenu, gdzie okrutnemu przesłuchaniu poddał go Konrad Piasecki. PiS chce wprowadzić ustawę zabraniającą wjazdu na teren Polski obywatelom konkretnych krajów. Jakich konkretnie, to jest póki co niekonkretnie, i sadystyczny Piasecki usiłował wyrwać tę wiadomość z Horaly wraz z paznokciami. Chodzi „generalnie o obywateli tych państw, którzy w sposób ponadnormatywny sprawiają u nas różnego rodzaju problemy”. A mniej generalnie? W projekcie jest napisane „Bliższy Wschód i Afryka Północna”. Czyli jakie kraje? „No to wszyscy wiemy, jakie tam są kraje”. Maroko? „Znaczący chyba nie ma jakiejś szczególnych problemów z mieszkańcami Maroka”. Egipt, Liban, Jordania, Arabia Saudyjska? „To by trzeba poznać statystyki”. A bez statystyk, tak intuicyjnie? „Sudan, Czad, no, Kongo, Etiopia, Erytrea, Nigeria”... Ale też „na przykład Autonomia Palestyńska: miałbym poważną wątpliwość, chociaż też jest dyskursywnie, czy to jest w ogóle kraj”. Mamy takie niezwiązane z tematem pytanie do posłanki Pauliny Matysiak z partii Razem: czy jest pewna, że to jest ten facet, z którym chce budować lepszą Polskę?

AWŁ

Odszedł Adam Pióro.

Mądry człowiek, wspierały przyjacieli,
niezastąpiony towarzysz z sesji
Krajowego Klubu Reportażu.

Żegnaj, Adasiu

Danusia Hanka Ilona Wojtek Jola Janusz Wiesiek
Ryszard Grażyna Danika Małgola Agnieszka
Ewa Czesław Marek Woik

Z głębokim żalem informujemy,
iz 26 lipca 2025 r. zmarł

dr Jerzy Smoliński

były minister pełnomocny w ambasadzie PRL w Moskwie,
były chargé d'affaires Polski w ZSRR,
były konsul generalny RP w Sankt Petersburgu,
wieloletni Przewodniczący
Stowarzyszenia Współpracy Polska-Rosja.
Żegnamy wybitnego dyplomata,
znawcę Rosji i krajów byłego ZSRR,
człowieka oddanego działaniom
na rzecz zbliżenia Polski i Rosji,
niezawodnego Kolegę, niezwykle ciepłego
i życzliwego człowieka.

Przyjaciele ze Stowarzyszenia
Współpracy Polska-Rosja

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Lipiec 2013 r.

Świętego Sylwera

Matka Boska z Lourdes zalana. Mokra i skompromitowana. Jakie cuda może wyprawiać ta bozia, kiedy nawet siebie nie potrafi ochronić?

Dalej św. Sylwera

Brazylijczycy buntują się przeciw budowie stadionów – kosztownych świątyni okrągłego bożka. To jest coś takiego, jak gdyby polscy katolicy ruszyli burzyć Jasną Górę. Poza tym domagają się bardziej równego podziału skutków rozwoju gospodarczego ich kraju.

Turcja jest coraz zamożniejsza. Turcy wojują więc na ulicach przeciw apodyktycznemu rządowi i wtrącaniu się islamu w prawodawstwo i życie potoczne. Potwierdza to tezę de Tocqueville’a, że rewolucje wybuchają wówczas, gdy ludziom żyje się lepiej. Ponieważ Polacy chcą spokoju, recesja gospodarcza przynosi nam korzyści.

Świętej Ety

Daniszewska uszyła sobie piękną kurtkę ze skóry cielaka, a Błańska – z Fibaka. Obie nie mogą ich nosić, bo albo upała, albo deszcz.

Świętego Albana

Adam Michnik wzywa, żeby z okazji rocznicy zabójstwa Polaków przez UPA nie rozjrzierać stosunków polsko-ukraińskich. Spróbuj. Byłem wówczas na dzisiejszej Ukrainie we wsi nazywanej wtedy Budzanów na Podolu. Wpiero Niemcy wymordowali 33 procent mieszkańców, czyli Żydów. Potem

ukraińscy powstańcy zabrali się do kolejnych 33 procent, tzn. Polaków. Na razie palili chałupy, obiecując rzeź, jak się nie wyniosą. Polacy zgromadzili się w ruinach zamku na wzgórzu i bronili się, rzucając kamienie i lejąc wrzątek na oblegającą ich UPA. Przede wszystkim wezwali zaś Niemców, którzy część UPA wybili, a resztę pognali do lasu. Następnie Budzanów wyzwoili wojska radzieckie. Przedstawiciele Polaków wskazywali im, którzy Ukraińcy byli w UPA aktywni, a którzy tylko uczestniczyli. Tych pierwszych wywożono na szosę i po zdjęciu im butów wieszano na przydrożnych drzewach. Innych wrzucano do zbiorowego dołu i stopniowo wywożono na Sybir. Gdy z rodzicami wyjeżdżałem z Budzanowa, na pudle ciężarówka kłanialiśmy się każdemu drzewu przy drodze, żeby nie uderzyć czołem w nogi wisielca.

W ukraińskiej narracji historycznej brzmiałoby to tak: polscy kolonizatorzy zwalczali ukraińskich patriotów, kolaborując w tym celu z okupantami niemieckimi i komunistycznym.

Świętej Andrei

Późną nocą siedziałem w knajpie przy ul. Wiejskiej w Warszawie, gdy przechodzący pijak zaczął wrzeszczeć do mnie: – Miller, ty morderco! I myśl tę rozwijał. Całe nasze towarzystwo słuchało go z radością.

Świętego Jana Baptysty

Byłem przez kilka minut w szpitalu, gdzie leżał nasz pracownik.

Żona wozi mnie po szpitalach, jeśli tylko przebywa tam jakaś jej koleżanka ze szkoły, sprzątaczką z biura itp. Jestem znów znany z mordy z powodu filmów na YouTube, w których gram, mając kilkumilionową widownię. Wizyta u pacjenta znanej twarzy wybitnie poprawia opiekę nad nim. Jestem więc mordercą, która uzdrawia – jak papież z Krakowa.

Świętego Prospera

Będzie kręcony film o Osieckiej, ale tylko o ostatnich, nieszczęśliwych jej latach. Mam już dosyć na ekranie chorowania na raka i picia, które na filmach jest nudne. W realnym życiu czuję rozdarcie. Picie lubię, raka niespecjalnie chciałbym złapać. Profesorowie onkologii są bardzo mili, ale nie garnę się do nich towarzysko. Mam poczucie, że patrzę na człowieka głodnym okiem: będziesz ode mnie zależny czy unikniesz.

Świętego Prospera

Komary. Jak je polubić? Zapuścić wszę na głowie i pluskwy w pościeli.

Świętego Anzelma

Rząd postanowił uczcić 10. rocznicę upadku prezydenta Lecha Kaczyńskiego zakupem bezpiecznego samolotu dla premiera Tuska.

Świętego Fernanda

PiS zarzuca Platformie, że psuje się od głowy, i zarazem twierdzi, że straciła głowę. Z tego Hofmana

to jest kawał Grasia. Alleluja i do przodka! Jeszcze ostatnia wódka i idę spać. „Wyborcza” napisała, że gdy chodząc, trzeba stawać, bo boła nogi, to jest złe krążenie. Trzeba dużo chodzić, nosić skarpetki i myć nogi, inaczej je amputują. Jak ja mam chodzić, jeśli mnie to boli, i wobec tego po co mam myć nogi, skoro je obetną?

Świętego Ireneusza

Drogi Palikocie, dostajesz w dupę, ale głowa do góry! Aby tylko Kwaśniewski nie urwał się z dyszla Europy Plus, to wejdzie ona do następnego sejmiku. Wtedy przypuszczalnie rządzić zacznie PO z SLD i z PSL lub bez. Europa Plus stanie się więc jedyną opozycją proeuropejską wspierającą modernizację kraju i myśli, wyrażającą aspiracje nowego pokolenia. Żebyś nie wiem jak się wysilał, nie możesz już wówczas nie wygrać następnych wyborów. Czas pracuje dla Ciebie jako wolontariusza.

Świętego Piotra i Pawła

SLD Millera dzieli się, historycznie rzecz biorąc, na dwie partie: rządzącą i gadającą.

SLD rządząca była pravicową, oligarchiczną i prokrykalką.

SLD gadająca jest lewicową, lecz konspiruje to, skąd wzięłyby środki na swoje współczesne cele programowe.

W rządzie PO-SLD Tusk zredukuję wydatki, a Miller cele. Do zera. (Przepraszam Ziobrę za użycie jego pseudonimu).

□

PRASA ŚNIADANIOWA

- Wędkarz wyłowił średniowieczny miecz z Wisły. Jest czym wyposażać **Ruch Obrony Granic**.
- **Kibice Legii** w ramach protestu przestali kibicować. W ramach strajku włoskiego powinni kibicować, ale grzecznie.
- **Grzegorz Braun** zapewnił, że upomni się o moralność publiczną na Placu Zbawiciela. Można powiedzieć, że Braun zapalił się do tego pomysłu.
- **Polska młodzież** ma najniższą wiarę w demokrację w porównaniu do reszty UE. Bo z demokracją nie chodzi się na piwo.
- **Donald Trump** przyznał, że jest rozczarowany Władimirem Putinem. To mniej więcej tak jakby być rozczarowanym zachowaniem rekina ludojada.
- **Andrzej Duda** przyznał, że chętnie zostałby premierem. Kiedyś chłopcy to chcieli być piratami.

MARTA M.

WSZYSCY
WOKÓŁ MNIE
UMIERAJĄ

PRZEMINĘŁO
Z WIATEREM



Rys. TOMASZ WĄTER

LISTONOSZ DONIOŚĆ

Głos młodzieży

Jestem stałym czytelnikiem tygodnika „NIE”, choć (...) mam dopiero 22 lata. Przychodzę z pewnym pomysłem: może warto ponownie mocniej zaistnieć w internecie? Tym razem jednak proponuję stworzyć medium będące kontrą wobec przekazu kanału Zero (nazwa nieprzypadkowa).

Uważam, że pewna część rynku medialnego została oddana w ręce mało rzetelnych idiotów, którzy – z niewiadomych przyczyn – odnieśli sukces. Być może właśnie dlatego, że wcześniej nie było tam niczego sensownego. Myślę, że rozwój „NIE” w tym kierunku miałby ogromny potencjał.

Przypomnę słowa Naczelnika o tym, po co powstało „NIE”: „Wszczynamy nasze polityczne NIE. Będziemy sztydzić z rzeczy poważnych i weselić się ze smutnych. Świętości – nie szargane – umierające z nudów. Pospieszymy się ratować”.

W czasach, gdy znów promuje się nacjonalizm i inne dziwaczne „świętojeblowości”, internetowe „NIE” mogłoby być równie ważną odskocznią, jak papierowe było (i wciąż jest) dla wielu czytelników.

Bardzo na Was liczę, bo z „mądrościami” Mazurka i Stanowskiego nie widzę przyszłości dla zidiociałej młodzieży, która nie potrafi już nawet zweryfikować ani przemyśleć tego, co ogląda lub czyta. Idealnie widać to w popularności kandydatów politycznych wśród młodych wyborców. Scena wciąż jest niezagospodarowana – tak jak była w pierwszych latach istnienia „NIE”.

Z serdecznymi pozdrowieniami dla całej redakcji
Michał z Warszawy

Nazwa bez znaczenia, ale...

Zapisuję się w ciemno do ruchu, partii Pani Profesor Senyszyn. Obojętnie jaką przyjmie nazwę. Ze swojej strony chciałbym złożyć propozycję nazwy – Ateści Senyszyn. Zdaję sobie sprawę, że ograniczy to liczbę chętnych do nowej organizacji politycznej, jednak z drugiej strony dałoby możliwość policzenia się w naszym zwiariowanym społeczeństwie. Myślę, że jako nowa inicjatywa spokojnie będziemy mieli w ewentualnych wyborach 10–15 proc. Skoro taki typ spod ciemnej gwiazdy jak Braun ma 6 proc., to my będziemy mieli więcej. Moim zdaniem główny nacisk powinien być położony na świeckość państwa, pełny rozdział od Kościoła katolickiego plus inne lewicowe postulaty.

Pani Senyszyn byłaby taką prekursorką zorganizowanego politycznego ruchu ateistycznego, a ze strony nas, ateistów, miałyby część i chwałę na wieki.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

W Londynie dnieje

Jak nie obejrzałam Westminsteru

Czasem człowiek ma więcej szczęścia niż rozumu. Poleciałam do Londynu na koncert cudnego Tima Minchina (o tym kiedy indziej), a trafiłam na narodziny nowej lewicy.

3 lipca członkini Izby Gmin Sultana Zarah ogłosiła – na platformie X, bo gdzieżby indziej – że odchodzi z Partii Pracy i razem z Jeremym Corbynem „będą współprzewodzić zakładaniu nowej partii, wraz z innymi niezależnymi posłami, działaczami i aktywistami z całego kraju”.

Z nieoficjalnych doniesień wynika, że Jeremy Corbyn nieco się zdziwił tym komunikatem, albowiem nie zostało z nim wcześniej ustalone, że będzie zakładał partię razem z Sultaną, toteż odpowiedź zajęła mu trochę czasu. Dopiero w piątek, kilkanaście godzin później, napisał: „Prawdziwa zmiana nadchodzi”, gratulując posłance „jej podyktowanej zasadami decyzji” o rzuceniu laburzystowską legitymacją i dodając – w dość ostrożnie sformułowanych frazach – iż „demokratyczne podstawy nowego typu partii politycznej wkrótce nabiorą kształtu” i „dyskusje się toczą”. Różnica w podejściu wynikała być może z wieku i doświadczenia – Jeremy Corbyn to 76-letni weteran Labour Party, do której należał przez lat prawie 60 lat, w parlamencie jest od czterech dekad; Sultana Zarah to 32-letnia aktywistka, która posłanką jest od 2019 r. Jej dystans jest nieco krótszy.

Atoli powściągliwość Jeremy’ego nie wytrzymała konfrontacji z rwącym nurtem wydarzeń – i już w sobotę był gwiazdą wiecu fetującego poczęcie nowej formacji. W wyniku wyjątkowego fartu byłam na tym wiecu.

Festiwal marksizmu

Na swój pierwszy dzień pobytu w Londynie, jak standardowy turysta ze Wschodu, zaplanowałam spacer po Westminsterze, oglądanie Pałacu Buckingham, rejs po Tamizie. Wysiadając z metra na przeciwko budynku parlamentu, wślazłam na słup z różową wlepką o treści: „Marxism 2025 – Festiwal socjalistycznych idei”. Pałac przestał mnie interesować, zwłaszcza że wlepka informowała, że Corbyn będzie promował książkę, do której napisał wstęp.

Nic z tego nie wyszło. Zamiast spotkania z twórcami książki odbył się pełnometrażowy wiec – a w zasadzie dwa, bo organizatorzy nie przewidzieli wielkości tłumu i musieli podzielić go na dwie grupy, w sali głównej i na dziedzińcu; wszyscy mówcy występowali dwa razy.

Kiedy dotarłam na miejsce na godzinę przed zapowiedzianym wystąpieniem Corbyna, kolejka opasywała cały kwartał ulic, toteż załapałam się dopiero na ten drugi – na którym Jeremy z wdziękiem ogłosił, że wie, co ma mówić, bo chwilę temu odbył próbę generalną. Dotarcie było o tyle trudne, że w konspiracyjnym nastroju organizatorzy podali jedynie rejon wydarzenia – Shoreditch – bez dokładnego adresu czy nazwy obiektu. Dodatkowo system sprzedający bilety (w czterech kategoriach: dla studentów, bezrobotnych i osób o niskich zarobkach; dla osób na pensji; solidarnościowe; supersolidarnościowe – od 25 do 80 funtów) w sobotę sprzedał mi bilety na miniony czwartek, co o tyle nie miało znaczenia, że i tak nikt tego nie sprzedał. Cudowna lewacka dezynwoltura wobec finansowych przyziemności sprawiła, że poczułam się jak w domu.

W środku, w intrygujących, choć nieco zapyziałych postindustrialnych wnętrzach, można było posłuchać toczących się równolegle w kilku miejscach wykładów i dyskusji, kupić książki, koszulki, różne symbole – głównie Palestyny – załapać się na regionalną, często niepokojąco egzotyczną kuchnię, posłuchać muzyki. Większość tych aktywności jednak zamarła, kiedy na obiekcie pojawił się Jeremy Corbyn, który ewidentnie nie planował ogłaszać powstania swojej formacji politycznej na imprezie innej partii – festiwal marksizmu to doroczne wydarzenie Socjalistycznej Partii Robotników – ale dynamika wydarzeń zdecydowała za niego.

Wystąpienie Jeremy’ego nie było zresztą, w ścisłym sensie, poświęcone narodzinom nowej partii. Było raczej o tym, jak zła jest sytuacja ludzi pracy pod rządami obecnej lewicy – co niejako naturalnie prowadziło do konkluzji o konieczności zbudowania nowej.

Pozwólcie, iż w tym miejscu odnotuję zasadniczą różnicę między Jeremym Corbynem i polską opozycją – czy to przed październikiem 2023 r, czy później. Otóż Corbyn nie mówił w każdym zdaniu o Keirze Starmerze i jego rządzie. Mówił o ludziach, ich problemach i pragnieniach – i pozwalał słuchaczom na samodzielne wyciągnięcie wniosków co do jakości obecnej władzy.

Jeremy Corbyn ma bardzo szczególny typ charakteru. Tyczkowaty, siwy, brodaty koleś w nieco rozchelstanej koszuli (tym razem w kolorze zupy pomidorowej) i okularach dwuogniskowych tej starej generacji, w której wyraźnie widać, gdzie



kończy się minus i zaczyna plus – jest raczej odległy od powszechnego wizerunku wiecowego idola. A jednak jest absolutnie hipnotyzujący, z wiarygodnością płynącą z niezmienności przekonań, których nie odkształciła zawrotna kariera, jaką zrobił 10 lat temu, zniemacka wygrywając wybory na szefa Labour Party – co, jak wielu oczekiwało, powinno było utemperować jego lewactwo. Niedoczekanie.

Corbyn pozostał wierny swoim wartościom, w tym lojalności wobec Palestyńczyków – co dało jego wrogom w LP asumpt do atakowania go jako antysemitę i w końcu Starmerowi do wywalenia go z partii. W wyborach 2024 r. Jeremy Corbyn startował jako kandydat niezależny z londyńskiego okręgu Islington North, który reprezentował w Izbie Gmin od 1983 r. Wygrał, zdobywając połowę głosów w okręgu, pokonując kandydata laburzystów przewagą 7 tys.

Głodne dzieci w UK i w Gazie

Byłam w Wielkiej Brytanii drugi raz w życiu, po ponad dwudziestoletniej przerwie, i to tylko w Londynie – ale wrażenie jest cokolwiek przynębiające. Przy stolicy królestwa Warszawa wygląda jak miasto zadbane, wręcz wychuchane. Corbyn nadał temu wrażeniu ramy faktyczne. Upadek socjalnego budownictwa i niczym nieskrępowana chciwość prywatnych kamieniczników sprawia, że więcej ludzi niż kiedykolwiek śpi na ulicach. Nauczyciele opowiadają, jak strasznie trudne jest uczenie dzieci, które są głodne – a jednocześnie eksperci narzekają na epidemię otyłości wśród brytyjskich dzieci.

– To jest efekt biedy, a nie złych życiowych wyborów – mówił Corbyn. – Rodziców nie stać na wartościową żywność, bo rząd uważa, że ludzie biedni mają za dużo dzieci i, w ramach wiecznego moralizatorstwa w duchu Adama Smitha, karze za to właśnie dzieci. Na jakiej planecie ci ludzie żyją?

Problem biedy wśród najmłodszych radykalnie pogłębiły rządy Davida Camerona i Thesy May, wprowadzające limit dwojga dzieci. Nie do końca tak jak w Chinach – dzieci można mieć, ile się chce, ale zasiłki przysługują tylko na dwojkę. Keir Starmer nie tylko utrzymał ten limit – ale też zawiesił posłów Labour Party, którzy głosowali za jego zniesieniem. Wśród nich właśnie Sultana Zarah, która była od roku poza klubem parlamentarnym LP, ale nadal należała do partii – i właśnie się z niej wypisała, powodując całą lawinę zdarzeń.

Kolejny przywołany przez Corbyna kryzys dotyczy NHS – publicznego systemu opieki zdrowotnej, który jest dumą brytyjskiej lewicy, ale jest także drenowany przez kontrakty z prywatnymi placówkami nastawionymi na zysk. Z jednej strony ma to tę zaletę, że kolejki do lekarzy się skracają – z drugiej jednak oznacza, że z budżetu publicznej służby zdrowia 10 mln funtów tygodniowo, zamiast na leczenie chorych, trafia w postaci zysku do kieszeni właścicieli. Corbyn uważa – i sala zgodziła się z nim z entuzjazmem – że receptą jest przejęcie prywatnych przychodni i szpitali przez państwo.

Inny przejaw szczególnego rozumienia lewicowości prezentowany przez rząd Keira Starmera – to przegłosowana ostatnio przez parlament

decyzja o wpisaniu Palestine Action na listę organizacji terrorystycznych – obok Państwa Islamskiego, Al-Kaidy, Hamasu i Hezbollahu. Palestine Action to grupa nieposłuszeństwa obywatelskiego wobec współudziału Wielkiej Brytanii w izraelskim apartheidzie – a ostatnio ludobójstwie – która dopuszcza się takich aktów terrorizmu jak wchodzenie na dachy, okupacja fabryk broni, malowanie na maszynach antywojennych napisów czy wypryskanie czerwonym sprejem turbin samolotów RAF, które tankują w powietrzu izraelskie myśliwce bombardujące Strefę Gazy. To ten ostatni akt skłonił rząd do zakwalifikowania PA jako organizacji terrorystycznej – co sprawia, że za należenie do niej, a nawet wyrażanie wsparcia wobec niej, można dostać do 14 lat pierdła.

– Zawsze są ludzie, którzy wierzą, że sposobem na rozwiązanie problemów jest zakaz mówienia rzeczy, które im się nie podobają – mówił Corbyn na wiecu, co z całą pewnością nie podobałoby się Starmerowi, ale przez widownię zostało przyjęte z entuzjazmem. – Ludzie chcą żyć w pokoju; nie chcą być ofiarami na ołtarzu chciwości, walki o zasoby naturalne. Każde pokolenie ma swoją własną sprawę, o którą walczy, ale jest złota nić, która łączy je wszystkie, i to jest poczucie jedności, potencjału, i wiedza, która z tego płynie. Ta generacja odważnie powstała i zrobiła tak wiele, ponieważ jest oburzona i zaszokowana tym, że w Gazie ludzie giną od kul w kolejce po jedzenie; że w puch roznoszą ich bomby produkcji amerykańskiej, zrzucone z samolotów, do których części dostarcza nasz kraj. Zabito 60 tys. ludzi – o tylu wiemy. To daje determinację do tego, żeby walczyć o zatrzymanie dostaw broni do Izraela.

W tej sprawie Corbyn i jego towarzysze nie są osamotnieni. Sondaż Opinion Research z początku czerwca wykazał, że 57 proc. Brytyjczyków – a aż 72 proc. wyborców Labour Party – jest za embargiem na broń dla Izraela; przeciw opowiedziało się tylko 13 proc.

54 proc. poddanych króla Karola popiera wyrzucenie Izraela z ONZ, a 50 proc. – bojkot izraelskich towarów (przeciw było po 16 proc.).

Nadzieja w niesubordynacji

Inny temat, który Jeremy Corbyn zasygnalizował w swoim wystąpieniu – to cięcia programów społecznych, które marzą się lewicowemu z nazwy rządowi Keira Starmera, a szczególnie oszczędności na zasiłkach dla 3,7 mln osób niepełnosprawnych. Zasiłek jest rzędu 10 funtów dziennie – tyle, co dwa browary w pubie – ale ma pozwolić na opłacenie pomocy w podstawowych czynnościach, takich jak mycie i jedzenie czy gotowanie i sprzątanie. W tej sprawie Corbyn ma poparcie nie tylko opinii publicznej, ale także swoich dawnych partyjnych towarzyszy: pierwszy projekt, przewidujący oszczędności rzędu 5,5 mld funtów, upadł, kiedy do rządu dotarł sygnał, że 120 posłów LP zamierza zagłosować przeciw. Starmer, przerażony, nakazał zlagodzić projekt tak, aby dotyczył tylko beneficjentów, którzy wystąpią o zasiłek po listopadzie 2026 r., co zmniejszyło



potencjalne oszczędności o ponad połowę. Ale i to nie uspokoiło posłów, więc rząd podwinął ogon i na 90 minut przed głosowaniem wpisał do projektu kolejną poprawkę. Stanowi ona, iż ewentualne zmiany wejdą w życie dopiero po analizie przeprowadzonej przez ministra ds. niepełnosprawności i konsultacji z przedstawicielami środowisk niepełnosprawnych – przedtem rząd nie przeprowadził ani analiz, ani konsultacji – co może oznaczać, że nie wejdą w ogóle. I mimo tego 49 posłów Labour Party zagłosowało 1 lipca przeciw reformie.

Starmer zapewne chętnie wypierdoliłby ich wszystkich – ma obecnie 411 mandatów w 650-osobowej Izbie Gmin, więc nadal zachowałby większość – ale teraz, kiedy czuje gorący oddech Corbyna na karku, jego pewność siebie doznała głębokiego uszczerbku. Dziś Jeremy ma koło poselskie Sojuszu Niezależny, wraz z czterema innymi postępowymi posłami, z których każdy wygrał w swoim okręgu z kandydatem laburzystów. Jak myślicie, gdzie trafiłaby większość posłów Labour Party wywalonych z klubu za obronę niepełnosprawnych przed cięciami socjalnymi, które mają dofinansować zbrojenia?

Tym bardziej że

badanie przeprowadzone przez sondażownię More in Common pod koniec czerwca – jeszcze przed ogłoszeniem budowy nowej formacji – wykazało, że „nowa partia pod przywództwem Corbyna” ma szanse na 10 proc. głosów.

Co sprowadza formację Keira Starmera po roku rządów do poziomu 20 proc. – ex aequo z konserwatystami – pozostawiając nową partię Nigela Farage’a, Reform UK, na bezpiecznym prowadzeniu z 27 proc. potencjalnych wyborców.

– Nigel Farage nie oferuje żadnych rozwiązań. Czy problemem jest brak szampana w jego klubie, czy za mało cukru w jego herbacie, zawsze ma jedną odpowiedź: winni są uchodźcy. To nie diagnoza, to obsesja – mówił na wiecu Jeremy Corbyn.

A inny z mówców, Andrew Feinstein – syn ocalałego z Zagłady, członek pierwszego demokratycznie wybranego parlamentu RPA po zakończeniu apartheidu, dziś aktywista antywojenny i propalestyński w UK – przestrzegał przed lekceważeniem potencjalnych wyborców Farage’a.

– Musimy przeorać sklerotyczne instytucje naszego państwa, tak żeby prezentowały interesy ludzi, a nie miliarderów. I zrobimy to, organizując w sposób demokratyczny ludzi zdesperowanych. Nie skreślajmy ich jako rasistów i ksenofobów; dajmy im ruch, który napelni ich nadzieją.

– To, czego ludziom brakuje – to nadzieja. Damy im nadzieję i poczucie możliwości – mówił Corbyn. Jakby to głupio nie brzmiało – poczułam się napełniona nadzieją.

A potem wróciłam do kraju.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Zabójcze 0,03 procent

Państwo polskie świetnie zarabia na migrantach

Uniżenie przepraszam rząd premiera Donalda Tuska. Kilkakrotnie pisałem, że nie ma on strategii w sprawie migrantów. To nieprawda. Właśnie dowiedziałem się, że jesienią 2024 r. rząd przyjął strategię wobec migrantów. Okazało się jednak, że choć rząd strategię już ma, to nadal jej nie realizuje. Pewnie dlatego nie chwali się nią publicznie. Chociaż strategia ma zapewnić polskim obywatelom kompleksowe bezpieczeństwo pomimo dalszego napływu migrantów. Oni zaś mają mieć obowiązek integracji ze społeczeństwem polskim. A rząd ma stworzyć im wszelkie warunki ku temu.

O tym, jak się będą migranci integrować, zadecyduje nowa strategia integracyjna. Plan działania powstaje właśnie w rządowym Departamencie Integracji Społecznej. Jego dyrektor Bartłomiej Potocki zapowiada jej przyjęcie już w marcu 2026 r.

Nasi obcy

Aby zostać cudzoziemskim migrantem w Polsce, trzeba wcześniej dostać pozwolenie na pracę u nas. Nie jest to trudne, bo polscy przedsiębiorcy potrzebują pracowników z zagranicy. Sezonowych, ale też długoterminowych. Szukają ich wszelkimi sposobami.



Pozwolenia łatwo dostać, problemy pojawiają się w uzyskaniu wiz polskich. Bo po masowym sprzedawaniu wiz przez ekipę byłego pisowskiego wiceministra Piotra Wawrzyka polskie konsulaty zachowują teraz szczególną ostrożność. Wnikliwie i bardzo długo rozpatrują wszystkie wnioski wizowe.

Wtedy nierzadko dostają ponaglenia od polskich parlamentarzystów. Ze wszystkich opcji politycznych, nawet z antymigranckich PiS i Konfederacji. Ponaglanych przez przedsiębiorców z ich okręgów wyborczych. Argumentujących, że polski przemysł nie będzie się rozwijał, nie sprostą zagranicznej – zwłaszcza niemieckiej – konkurencji bez niezbędnej mu zagranicznej siły roboczej.

Warto przypomnieć, że polska wiza uprawnia do poruszania się w strefie Schengen. Podobnie każda wiza państwa z tej strefy upoważnia do pobytu w Polsce.

Bywa, że cudzoziemski pracownik polskiej firmy jest potem delegowany do pracy na terenie Niemiec, Czech, nawet Hiszpanii. Bywa też, że wjeżdża on do Polski z wizą wydaną w Chorwacji, Słowenii, na Cyprze – tam gdzie dają je szybko. A potem już uzyskuje od polskiego urzędu wojewódzkiego kartę pobytu uprawniającą do życia w naszym uroczym kraju. Urzędy też są pod presją lokalnych przedsiębiorców i ich parlamentarzystów.

W roku 2024 ponad 300 tys. takich posiadających pozwolenie lub zaproszenie do pracy cudzoziemskich pracowników wjechało do Polski. Za rządów PiS wjeżdżało ich jeszcze więcej. Szacuje się, że jest ich w Polsce ok. 2 mln. Mamy też około miliona Ukrainek, często z nieletnimi dziećmi, które osiadły w Polsce po ucieczce z Ukrainy w 2022 r. Wszyscy oni przebywają tu legalnie.

Eldorado

Można też zostać w Polsce nielegalnym migrantem. Z narażeniem życia, zdrowia i posiadanych oszczędności przedrzeć się przez granicę. Nie tylko z Białorusią. Kiedy ją zagrodzono, powstały nielegalne szlaki z Litwy, Słowacji, Ukrainy nawet.

Zwykle ci nielegalni nie przebywają w Polsce długo. Nawet jeśli uzyskają status uchodźcy politycznego, to gościnna III Rzeczpospolita oferuje im zwykle pobyt w zamkniętym ośrodku dla cudzoziemców. Zwykle położonym na zadupiu, poza trasami komunikacyjnymi. Ze standardem gorszym od ośrodków, w jakich junta generała Jaruzelskiego internowała opozycyjnych liderów Solidarności w czasie stanu wojennego.

Czasem uchodźca decyduje się zamieszkać poza takim obozem koncentracyjnym. Wtedy może dostać od państwa polskiego 750 zł miesięcznie na życie. Jeśli jest z żoną, to dostają po 600 zł na głowę. Kiedy mają dziecko, to dostaną po 450 zł, a przy dwójce dzieci po 375 zł, czyli 1500 zł na czteroosobową rodzinę. Eldorado!

Do tego państwo polskie dodaje każdemu z nich miesięcznie po 20 zł na zakup środków higieny osobistej i 50 zł kieszonkowego. Jednocześnie daje aż 140 zł na zakup odzieży i obuwia. Można się wystroić? W chińskim markecie na pewno. Dodatkowo uchodźcy mają formalnie zapewnioną bezpłatną opiekę medyczną. Jaki jest stan bezpłatnej opieki medycznej w Polsce, każdy widzi. Zapewnia też państwo polskie bezpłatny dostęp do szkół dla dorosłych i ich dzieci. A czasem opiekę psychologiczną, ale tylko w zamkniętych ośrodkach. Nic dziwnego, że ci nielegalni jak najszybciej przedzierają się do Niemiec, gdzie jeszcze niedawno mogli liczyć na lepiej płatną pracę lub realną pomoc socjalną. Ale teraz niemiecka straż graniczna odsyła ich jak polskich Żydów za rządów Adolfa Hitlera. Legalnego migranta z Austrii.

Warto przypomnieć, że w roku 2024 odnotowano kilka tysięcy takich nielegalnych. Jeśli nawet nie policzono wszystkich, to nie przekroczyli oni 10 tys. osób. Stanowili mniej niż 0,03 proc. wszystkich cudzoziemców przybyłych na dłużej do Polski w 2024 r.

Nietrudno zauważyć, nawet Polakom o narodowo-katolickiej orientacji, że społeczeństwo polskie w swej masie się starzeje. Wszystkie programy pobudzające polski wzrost demograficzny przyjęte przez dwie kadencje rządów PiS, nawet kultowe 500 plus, nie przyniosły efektu wzmocnienia substancji narodowej. Pomimo tego rząd Tuska je zachował. Nie wprowadził nowych rozwiązań

proponowanych przez koalicyjną lewicę. Co gorsza, premier wsparł antyukraińską nagonkę wszczętą przez narodowo-katolicką faszystującą prawicę. Wypomniął ukraińskim dzieciom zasiłek 800 plus pobierany na nich przez ich rodziców.

Trochę późno, ale...

Ale fakty znowu są inne od narodowych nienawiści wzbudzanych przez polskich polityków. Bartosz Marczuk, dziś ekspert Instytutu Sobieskiego, wiceminister rodziny, pracy i polityki społecznej w latach 2015–2018, czyli za rządów PiS, w opublikowanej w „Dzienniku Gazecie Prawnej” analizie obliczył, że ponad 85 proc. obecnych w Polsce migrantów to Ukraińcy i Białorusini. Widoczni na ulicach dużych miast Gruzini, Hindusi, Latynosi to około 2 proc. wszystkich. W 2024 r. ponad 70 proc. z nich legalnie pracowało w Polsce. Dla porównania w Niemczech stale pracowało 25 proc. obecnych tam migrantów, w Czechach – 48 proc. Autorzy raportu Banku Gospodarstwa Krajowego zauważają: „biorąc szacunkową wartość podatków płaconych z Polsce przez migrantów z Ukrainy, można stwierdzić, że na każde 1 zł otrzymane przez obywateli Ukrainy w ramach programu Rodzina 800 plus migranci wpłacili do polskiego budżetu państwa około 5,4 zł”. Zaś z wyliczeń Bartosza Marczuka wynika, że łączne roczne wydatki z budżetu państwa polskiego na szkoły, przedszkola, program 800 plus, dają około 4,5 mld zł. Za to z tytułu podatków bezpośrednich i pośrednich polski budżet otrzymuje około 20 mld zł.

Inne szacunki mówią, że bez pracy cudzoziemców nie będzie przynajmniej 6–7 proc. składek płaconych przez nich na polski ZUS. A gdyby zrealizować postulat narodowo-katolicko-faszystujący polskich polityków, czyli „Polska dla Polaków”, to z polskiego rynku pracy ubyłoby ok. 10 proc. pracujących.

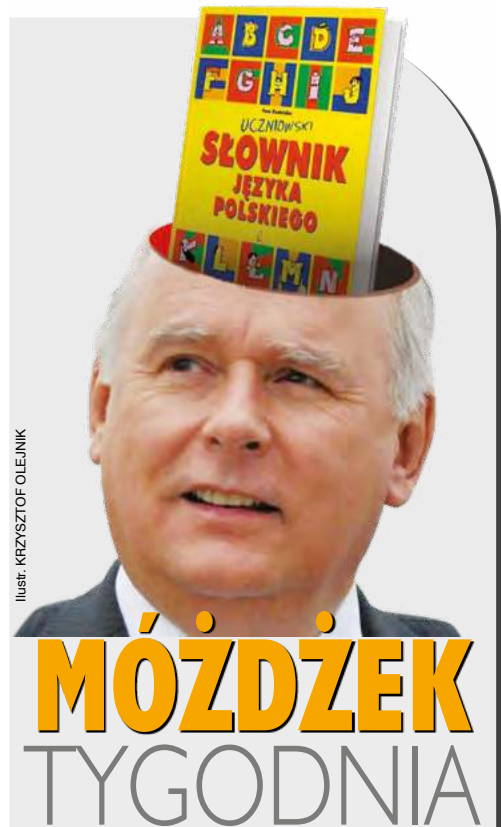
Polska nie tylko starzeje się statystycznie i faktycznie. Mamy coraz więcej wsi i miast, które się wyludniają. Mamy coraz więcej gmin, gdzie nie ma już młodych lekarzy i pielęgniarzy, podobnie jak pracowników opieki społecznej.

Jeśli polskie elity polityczne nie stworzą programu przyjmowania i integrowania cudzoziemców, to za kilkanaście lat nie będzie komu podcierać setek tysięcy starych, schorowanych narodowo-katolicko-faszystujących dup.

Tylko dlatego, że prezes Kaczyński i jego szturmowcy bronią dziś swoich politycznych dup.

Za swych rządów PiS łatwo rozdawał wizy, ale niczego innego przybyłszom nie zapewniał. Rząd Tuska przyjmuje bez walki antycudzoziemską propagandę PiS i Konfederacji. W efekcie wypierane są z polskiej zbiorowej świadomości fakty, że imperialna, wielka I Rzeczpospolita była zawsze państwem wielonarodowym. Podobnie jak suwerenna II Rzeczpospolita. Postulat „Polski dla Polaków” zrealizowano jedynie w Polsce Ludowej. Jako produkt uboczny polityk Hitlera i Stalina.

PIOTR GADZINOWSKI



Trzeba być głąbem, żeby publicznie tłumaczyć Hołownię z tego, że podczas jednego slotu tej czwartkowej nocy poleciał jak na skrzydłach na chatę do Bielana, żeby spotkać się z Kaczyńskim i Michałem Kamińskim.

Tak jak w telewizyjnej reklamie chipsów Lay's:

Ktoś pokazuje zdjęcie posłanki Barbary Oliwieckiej.

– Głęb – mówi farmer w słomkowym kapeluszu.

Zdjęcie posła Sławomira Ćwika.

– Głęb.

Zdjęcie senatora Macieja Żywny.

– Głęb.

Zdjęcie posła Tomasza Zimocha.

– Nie głęb.

Jednak największym głąbem z Polski 2050, który usprawiedliwiał Hołownię, był poseł Paweł Zalewski, wiceminister obrony narodowej. Nawet nie dlatego, że robił to szczególnie gorliwie... Dlatego, że w programie „Tak jest” w piątkowe popołudnie powiedział „odeszłem”, wspominając o swoim przejściu z Prawa i Sprawiedliwości do Platformy Obywatelskiej.

Po polsku poprawnie mówi się: „odszedłem”.

Prawicowa szajba wymiata

Bezprawie na granicy

Od poniedziałku 7 lipca Polska przywróciła tymczasowe kontrole na granicach z Niemcami i Litwą. Ta decyzja rządu ma być „odpowiedzią na zmieniającą się sytuację migracyjną oraz politykę Niemiec w zakresie kontroli granicznych”. Ma ona chronić polskich obywateli. Gołym okiem widać lub lepiej powiedzieć, że z daleka nosem czuć smrodek politycznej blagi i politycznej propagandy.

Zapasek ten nawiewa wiatr nie tylko ze strony polskiego rządu, ale także z niemieckiej strony. Bo to oni wcześniej wprowadzili podobne kontrole po swojej stronie. Jasne jest też, że decyzje te są całkowicie bezprawne. Zgodnie bowiem z kodeksem granicznym Schengen państwo członkowskie może przywrócić kontrolę graniczną tylko „wyjątkowo” i „jeśli istnieje poważne, nieprzewidywalne zagrożenie porządku publicznego lub bezpieczeństwa wewnętrznego, które wymaga natychmiastowego działania”. Biorąc pod uwagę fakty, de-

cyzja o wprowadzeniu kontroli na granicach sprzeczna jest z każdym słowem przytoczonego wyżej fragmentu kodeksu z Schengen. Nie istnieje bowiem „nieprzewidywalne zagrożenie” porządku lub bezpieczeństwa, nie ma konieczności „natychmiastowego działania”, a już na pewno to działanie nie ma nic wspólnego z powagą – bo czyż głupia ściema może być poważna? No bo przyjrzyjmy się faktom...

Niebezpieczni migranci?

Udział cudzoziemców w ogólnej liczbie przestępstw w Polsce wzrasta powoli i tylko nieznacznie. Ostatnio z 3 proc. w 2023 do 3,2 proc. w 2024 r. Ale trzeba wziąć pod uwagę, że w tym czasie wzrosła liczba obcokrajowców przebywających w Polsce. Obliczono zatem, że mimo napływu migrantów odsetek cudzoziemców popełniających przestępstwa w stosunku do ich ogólnej liczby w Polsce jest niski i w 2024 r.

wynosił około 0,65 proc. Oznacza to, że pomimo wzrostu bezwzględnej liczby przestępstw cudzoziemcy w Polsce obecnie popełniają mniej przestępstw w przeliczeniu na swoją populację niż na przykład 10 lat temu (wtedy ok. 1,5 proc.). Można zapytać, czy migranci popełniają więcej przestępstw niż Polacy? Okazuje się, że nie. Polacy popełniają średnio więcej przestępstw niż migranci. Polacy – 0,7 proc., Ukraińcy – 0,6 proc., a migranci z pozostałych stron świata – w granicach 0,65 proc., czyli średniej w populacji. Wyjątek w tej liczbie stanowią z nie do końca jasnych powodów Gruzini – bo aż ok. 6 proc. Należy także zauważyć, że w każdym społeczeństwie przestępstw dokonują głównie młodzi i w średnim wieku. Migranci to właśnie przede wszystkim ta grupa wiekowa. W tym kontekście, jeśli migranci popełniają mniej przestępstw niż średnia Polaków, to znaczy, że są oni jeszcze mniej groźni czy problemowi od naszych obywateli. Oczywiście oczywistością jest także fakt, że migranci pierwszej generacji często są osobami, które chcą zbudować nową przyszłość, i są mniej skłonni do popełniania przestępstw. Problemem mogą być następne pokolenia, jeśli zostaną po-

Pamiętnik z pogranicza

Kilka dni temu napisał do mnie kolega z drugiego końca Polski. Wkleił w okno Messengera fotografię grupy kibiców żużlowego Falubazu „patrolujących” ulice Zielonej Góry w województwie lubuskim w poszukiwaniu elementu obcego kulturowo i napisał rozbawiony: „Cieszę się, że jesteś bezpieczna”. Istotnie, kolega nie łknął rozkręcanej przez prawicę hysterii o hordach imigrantów na zachodniej granicy, ale że rząd Tuska nic z dezinformacją nie zrobił, a dezinformacja zaczyna rządzić, postanowiłam pokrótce przedstawić, jak się sprawy na zachodzie Polski mają. Uwaga, spoiler – w kraju nad Odrą nawet faszyzm szedł na psy.

Odrzania

6 lipca minęła 75. rocznica podpisania traktatu zgorzeleckiego o wytyczeniu ustalonej i istniejącej granicy państwowej pomiędzy Polską a NRD, którym oficjalnie przyklepiano jałtański zamysł Stalina. Uznanie granicy pomiędzy państwami na Odrze i Nysie Łużyckiej, wbrew powszechnie głoszonemu kocopolom o przyjaźni z Niemcami, ni grzyba nie poprawiło stosunków między sąsiadami. Pomimo zawarcia porozumień w sprawie przejść granicznych, małego ruchu granicznego oraz żeglugi i eksploatacji na wodach pasa granicznego między przywódcami panowała atmosfera – powiedzmy – braku zaufania, a przy granicy dochodziło do burd i sporów w wielu kwestiach.

Z biegiem lat ludność napływowa uznała się za lokalną, a organolepetycznie przekonawszy się, że Niemiec już nie gryzie, nawiązała z sąsiadem wpiętych poprawne, a później stosunkowo przyjazne relacje. Krótko mówiąc, nastał czas, kiedy w auta na niemieckich rejestracjach po polskiej stronie przestano rzucać kamieniami, a handel, rynek pracy i często cztery rogi pierzyny zblazniły stare waśnie. Winston Churchill, rozważając przekazywanie Polsce niemieckich ziem, powiedział, że „byłoby nieszczęściem tak przekarmić polską gęś niemieckim jadem, żeby zdechła z niestrawności”. No i, kurwa, w pewnym sensie wykrakał, bo to, co od trzech tygodni odtajnawiały polskie konserwy na granicy z Niemcami, zaczyna nieco bruździć w mozołnie wypracowanym układzie. Na szczęście tylko troszeczkę i póki co więcej z tego śmiechu niż gówna.

Kanał Republiki

Kolejna próba rozkręcenia antyimigranckiej hysterii na Ziemiach Odzyskanych nieprzypadkowo znowu miała miejsce w Zielonej Górze. Podobnie jak rok temu (pisałmym o tym w „NIE” 26/2024 w tekście „Ciapata Góra”) ksenofobiczny wiatrak wyję-

tych z dupy fiksacji puścił w ruch be-niaminek TV Republika red. Janusz Życzkowski. W przyrodzie występują pewne cykle – tak jak łosie parzą się we wrześniu, tak były naczelny pisowsko-orlenowskiej „Gazety Lubuskiej” i „Gazety Wrocławskiej” w okresie letnim szuka ciemnoskórych obco-krajowców na ulicach jednej ze stolic Lubuskiego.

Tym razem punktem zwrotnym dziennikarstwa śledczego Republiki miało być nagranie smartfonem kilku mężczyzn o odmiennym od świńskiego kolorze skóry, na terenie pomiędzy liceum ogólnokształcącym i szkołą muzyczną. Konkretnie sześciu – dwóch siedzących w słoneczny dzień na ławce, kolejnych czterech przechadzających się w okolicy.

Zdawałoby się, że czasy, kiedy widok człowieka o rzadko spotykanym w Polsce kolorze skóry wzbudzał zainteresowanie, minęły ze 30 lat temu, ale newsa podał sam Mateusz Morawiecki na portalu X, wyjąc, że nielegalni imigranci w Zielonej Górze przesiadają pod szkołami, obserwują młodzież, a wieczorami chodzą półnadmą w grupach. „Rodzice alarmują, a rząd milczy!” – napisał ekspremier, czym wywołał poruszenie w lędźwiach bogoojęczyńnianych patriotów. W miasto ruszyła kibolska bojówka patrolowa, której zdjęcie obiegło cały internet. Chłopaki niepotrzebnie oderwali się od bezrobocia i zdarli podeszwy. Komenda zielonogórskiej policji w trybie

pilnym zdementowała pompowane przez prawusów rewelacje.

Kiedy Robert Bąkiewicz i Dariusz Matecki ku konsternacji pań handlujących dupą rozstawiali na poboczach przygranicznych dróg złożone z emerytów w laczkach i dzieciaków ekipy Ruchu Obrony Granic, ostateczny rozwód z rozumem postanowiły wziąć gwiazdy gorzowskiej prawicy z PiS: radny i były poseł Jarosław Porwich oraz Elżbieta Rafalska. Obydwoje udostępnił w swoich social mediach

nagranie z centrum Gorzowa, które miało przedstawiać „niekontrolowany przez państwo napływ cudzoziemców”, a na którym rozpoznano muzyków Saly Velingara Ballet z Senegalu. Ci „napłynęli” do miasta z okazji XXVIII Międzynarodowego Festiwalu Tańca Folk.

Jednak rzucim tę ziemię

Ukoronowaniem rasistowskiego benefisu po polskiej stronie Odry miała być zwołana na 4 lipca w Zielonej Gó-

rze przez lidera Konfederacji posła Krzysztofa Bosaka wielka manifestacja przeciwko nielegalnej imigracji i przepychaniu imigrantów ze strony niemieckiej na ziemię polską.

Każde miasto ma jakieś swoje lokalne nieszczeście: Szczecin – Dariusza Mateckiego, Zielona Góra – Tomasza Lisa i Krzysztofa Bosaka. Prezes Ruchu Narodowego (podobnie jak cała prawica) ma słaby posłuch w rodzinnych stronach. W wyborach na prezydenta miasta z 2015 r. zdobył zaledwie 1716 głosów (4,45 proc.). Może przypomniało mu się, że nie jest tu zbyt lubiany, bo na organizowaną przez siebie manife nie dotarł. Lokalni narodowcy nie chcieli oceniać, ile osób zgromadzi się na imprezie, ale licząc na wsparcie kibiców żużlowego Falubazu, ostrożnie szacowali, że liczby pójdą w tysiące. Nie pykło, tłumek neofaszystów był rzadki jak klaki na mysiej pipie.

Wiewiórki donoszą, że prezes klubu Adam Goliński pogroził kibicom paluszkami, bo miasto, które smaruje pajdę Falubazu 3 mln zł rocznie za promocję, zaczęło tracić wizerunkowo na patrolach kiboli w koszulkach z hasłem „powitania do więzienia” polujących na wyimaginowanych migrantów. Na manifie tylko nieliczni założyli klubowe barwy. Widocznie miłość do żuźla zwyciężyła tę do ojczyzny.

Do Zielonej Góry nie wpadł również obskakujący przejścia graniczne jak pies ze sraczką Robert Bąkiewicz ani przedstawiciele lokalnego PiS. Tym

ostatnim trudno się dziwić. Ledwo zpią w lokalnych sondażach, a skojarzenie z pierdolnikiem Wszechpolaków na pewno by im nie pomogło.

Bosaka zastąpił szef Konfederacji w regionie, były poseł Krystian Kamiński, który kwestionował sens Unii Europejskiej. Niestety, trafił nie w tę dziurkę. Lubuskie żyje z handlu i współpracy z Niemcami. Największe strefy ekonomiczne w regionie powstały dla niemieckiej branży e-commerce, nie wspominając o firmach transportowych. Lokalsi już odczuwają lekką kurwice z tytułu niepokoju, że przez burdel na granicy Niemcy przeniosą swoje interesy w głąb kraju. Zabawnie było też słuchać, jak drugi ancymon od Wszechpolaków Marcin Ossowski opowiadał o zachowaniu naszej pięknej kultury i cywilizacji i nawoływał do sprzeciwu wobec polityki multikulti – na Ziemiach Odzyskanych, w tyglu wielokulturowego osadnictwa...

Czarno na białym

Skala ruchu migracyjnego pomiędzy Polską a Niemcami jest niewielka, o czym świadczą statystyki służb. Readmisja (odsyłanie migrantów, którzy nielegalnie przekroczyli granicę, do państwa, z którego przybyli) z Niemiec do kraju nad Wisłą do 22 czerwca 2025 r. wyniosła 89 osób. Dla porównania w 2023 r. było to 564 sztuki.

W ramach procedury dublińskiej – systemu prawnego UE, który określa, które państwo członkowskie jest odpowiedzialne za rozpatrzenie wniosku o azyl złożonego przez obywatela państwa trzeciego – zachodni sąsiedzi do czerwca br. zawrócili 225 osób. W 2023 r. było ich 404.

Jak przekazała rzeczniczka prasowa Komendy Miejskiej Policji w Zielonej Górze podinspektor Małgorzata Stanisławska, do 5 lipca nie zanotowano żadnych incydentów z migrantami czy też popełnianych przez nich przestępstw. Interwencję podjęto w odpowiedzi na dwa zgłoszenia. Jedno okazało się niepotwierdzone, a w drugim przypadku policjanci pojechali na wskazane miejsce i po wylegitimowaniu „podejrzanych” osób okazało się, że legalnie przebywają na terenie naszego kraju i świadczą pracę w jednej z zielonogórskich firm.

Na razie z faszołskich zmas o tabunach nielegalnych imigrantów podzuczanych przez Niemców można się śmiać. Krajanie donoszą, że po drugiej stronie Odry Bundespolizei rechocze na widok „funkcjonariuszy” Ruchu Obrony Granic. Nie jest żadną tajemnicą, że PiS z całą przybudówką wzorem swojego idola zza oceanu wykreował w migrantach sztucznego wroga, z którym chce walczyć. Jeśli jednak premier Donald Tusk dalej da się karnie wodzić za pipę tej narracji, w dalszej perspektywie skutki tego burdelu mogą być oplakane.

ITALIA DUBICKA



traktowane jak obywatele drugiej czy trzeciej kategorii, a przyczyni się do tego błędna polityka integracji.

Pozwólcie, że do tych danych dodam własne doświadczenie. Otóż przez kilkanaście lat, od czasu mojej transpłciowej tranzycji, nigdy nie spotkałam się z sytuacją, w której czułam się zagrożona przez osoby migranckie o dowolnym kolorze skóry, wschodnim akcencie czy obcym języku – w przeciwieństwie do wielu niemiłych

i groźnych sytuacji, jakie przeżyłam w relacjach z ludźmi ozdobionymi znakami Polski Walczącej, symbolami wiary katolickiej albo polskimi narodowymi insygniami jak orzeł w koronie czy narodowe barwy.

Bąkiewicz rulez

Setki ludzi rozstawiły swe placówki w pobliżu przejść granicznych z Niemcami. To samozwańczy Ruch Obrony Granic, powołany przez Roberta Bąkiewicza. Powołali oni „patrole obywatelskie”, które mają strzec Polskę przed napływem migrantów zawracanych przez niemieckich pograniczników. Kontrolują bezprawnie, według swego uznania, osoby wjeżdżające do Polski. Ludzie skarżą się, że z tego powodu bywa nieprzyjemnie, ale migrantów na granicy i w granicznych miastach nie widać. To nie są tłumy migrantów – mówią.

Wyżej opisany przegląd danych dowodzi, że mitem, a dosadniej mówiąc, ściemą są głoszone przez prawicę tezy, że napływ migrantów do Polski stwarza niebezpieczeństwo dla obywateli. Że migranci wysysają z Polaków soki, sięgając po pomoc społeczną i opiekę medyczną. A przecież w Polsce nie da się żyć z zasiłków. Migranci ze względu na nastroje społeczne często nie czują się tu miło. Dlatego ci, którzy nie znajdują tu pracy, starają się jechać dalej. Co więcej, ze względu na sytuację demograficzną imigranci są nam bardzo potrzebni. Potwierdza to praktyka,

że zdecydowaną większość migrantów ściąga do kraju polski biznes. To nie kanclerz Merz, cofając do Polski, nam ich tu namnaża.

Dla mnie jest jasne, że migranci, skoro chcieli przekroczyć granicę i jechać dalej, to nie chcą tu zostać. Cofnięci z Niemiec, pierwsze co robią, to starają się nie zrezygnować ze swojego celu podróży – próbują wrócić na obraną wcześniej ścieżkę. Ewentualnie, choć znacznie rzadziej, jeśli są bardziej zniechęceni, szukają czasowej roboty w Polsce. Jak widać, nie wszyscy mają tę jasność. Że tej prawdy nie ogłaszają Bąkiewicz i jego poplecacy z Konfederacji, nie dziwi się wcale. Oni grają politycznie wywołanymi wcześniej przez PiS i całą prawicę antyimigranckimi nastrojami. Ale że kierownik Donald, podobno wielki doświadczony przywódca polityczny, daje się wciągnąć w tę grę, tego nie kumam. Pozwala na to, by Bąkiewicz z Konfederacją poza prawem rządili Polską! Władze Polski, mieniące się państwem prawa, zamiast zwinąć bezprawnie działających koleśki z Ruchu Obrony Granic, potwierdzają swą decyzją o wprowadzeniu kontroli granicznej słusność akcji Bąkiewicza and company.

Strategia przeciwnika

Skrajna polityczna głupota ekipy Tuska polega na tym, że po pierwsze wpisuje się w politykę szczucia na imigrantów. Przecież to jest polityka (czy jak się to modnie mówi: narracja), którą gra-

ją jego największy rywale polityczni – skrajna prawica. Nie da się wygrać żadnej wojny, wpisując się w strategię i taktikę przeciwnika.

Tusk ten błąd popełnia nie po raz pierwszy, bo kontynuacja działań PiS na granicy białoruskiej jest tego przykładem. Po drugie, strzela sobie w kolano, działając wbrew znacznej części swojego elektoratu.

Przecież na granicach z Niemcami i Litwą mieszkają ludzie, którzy żyją na co dzień po obu stronach granicy. Mieszkają tu, pracują tam, handlują – przekraczają te granice na co dzień. Te kontrole ich nie zachwyca. A ponadto dla każdego obywatela Polski Schengen jest symbolem europejskiej integracji. Kontrole graniczne, nawet tymczasowe, to naruszenie tego symbolu w stopniu, który skutkować może podważeniem zaufania do polityki rządu w oczach elektoratu.

A więc co? Mądre to było?! Strach się bać o wynik nadchodzących wyborów parlamentarnych!

ANNA GRODZKA

Wybory czy ściema?



Świadomy wyborca to niebezpieczeństwo dla obecnej władzy

Trwa przepychanka dotycząca wyborów prezydenckich. Wygrał, nie wygrał – cholera wie. Czy przekreśli zdecydowały o przewadze głosów? Ile ich faktycznie było? Nawet nikt nie jest w stanie oficjalnie i zgodnie z prawem stwierdzić, ile głosów ostatecznie otrzymał każdy z kandydatów. Kto ma stwierdzić, że wybory są ważne, jeśli konstytucyjnie powołane do tego instytucje zostały zdemolowane, zakwestionowane i ośmieszone? Zenująca i straszna jest sytuacja, kiedy państwo mianujące się demokratycznym państwem prawa w jednym z najważniejszych aktów demokracji – wyborach prezydenckich – nie jest w stanie zachować się ani zgodnie z prawem, ani zgodnie z demokracją. W swoich felietonach nie raz pisałam o kulejącej demokracji. Ale myliłam się. Obecna demokracja, jeśli w ogóle jest, to ryje po dnie przykryta warstwą błota.

Do tej sytuacji doprowadziła oczywiście polityka polaryzacji (o czym też pisałam) stosowana od 20 lat – tak przez PO, jak i przez PiS z akolitami. Kulawa demokracja opisana w konstytucji była, jaka była, ale do dna zepchnęła ją polityka tzw. zjednoczonej prawicy z PiS na czele. Obecna ekipa rządząca usiłuje nieudolnie przeciwdziałać chaosowi, starając się nie łamać prawa ustanowionego bezprawnie – bo z naruszeniem konstytucji – przez PiS w poprzednich kadencjach.

Ale przyczyną obecnej dramatycznej sytuacji są także absurdalne i antyspołeczne zasady funkcjonowania konstytucyjnej wersji demokracji i praktyk jej stosowania.

Jak widać w tej sprawie, rzeczywistość jest tak bardzo do dupy, że bajka jest wprost konieczna.

Usiądź wygodnie, zrelaksuj się i wyobraź sobie, że polskie patoelity odpłynęły jak deszczowe chmury w siną dal. Wyobraź sobie najpierw, iż nikt społeczeństwu nie wciska już kitu, że w dojrzałej demokracji każdy obywatel musi wziąć udział w wyborach. Wyobraź sobie, że wskutek tego każda osoba, której wyłączną troską są życie rodzinne, wychowanie dzieci, własna kariera zawodowa, relacje towarzyskie albo dobra zabawa, nie musi czuć się jak świnia i wyrzutek społeczny, olewając wybory.

Żeby była jasność: nie pochwalam tej nieczulej na nasze wspólne sprawy antyspołecznej postawy.

Zauważam jedynie, że chamski szantaż obywatelskim obowiązkiem prowadzi do sytuacji, w której do urny wyborczych zapędzani są skutecznie obywatele, którzy nie mają zielonego pojęcia, na kogo powinni zagłosować, aby być w zgodzie z własnym przekonaniem i interesem. Nie interesują się przecież polityką, nie śledzą związanych z nią faktów, nie starali się nawet nigdy zrozumieć skomplikowanego systemu, w jakim żyją. Ot, biorą życie takim, jakie jest obok nich, i starają się dbać o własne interesy. Wrzucają swój głos do urny na podstawie wrażeń, jakie są w stanie zaobserwować w pi-aro-wo przygotowanej dla nich kampanii wyborczej, oraz na podstawie emocji, jakie wzbudziła w nich manipulacyjna spin polityka.

Można odnieść wrażenie, że ludzie, którzy polityką się nie interesują albo ledwie interesują, jest większość. Efekty tego szantażu są zatem opłakane. Patoelity pomiatają potem wyborcami, którzy ulegli propagandzie drugiej strony, pokładając przyczynę w braku edukacji, zacofaniu, głupocie. A przyczyna tego, że efekt wyborów nie ma wiele wspólnego z rozumem, jest bardzo prosta: to moralny szantaż, że „nie idziesz na wybory – nie jesteś patriotą”, „nie głosujesz – nie masz prawa krytykować”. To piramidalna bzdura i rozwalanie demokracji. Opisana praktyka to jednak nie kretynizm – to metoda. Politycy doskonale wiedzą, po co to robią: wiedzą doskonale, że metoda na patriotyczny szantaż da w efekcie priorytet stosowanej przez nich manipulacji nad rozumnym, świadomym wyborem obywateli.

Problemem wyborów, które niewłaściwie odzwierciedlają faktyczną wolę wyborców, a zatem zaprzeczają ich sensowi i samej demokracji, jest stosowany w polskich wyborach prezydenckich system większości bezwzględnej, czyli głosowania z drugą turą w celu uzyskania przez kandydata połowy głosów plus jednego. Prowadzi to oczywiście

do sytuacji, w której większość głosujących najczęściej oddaje głos nie „za”, a „przeciw” komuś, czyli na mniejsze zło. Może się wydawać, że taki system jest w tej sytuacji jedynie możliwy, ale tak nie jest. W wielu miejscach na świecie, ba, może nawet w większości krajów demokratycznych, istnieją proporcjonalne systemy wyborcze: głosowanie rankingowe. Wybory spośród wielu kandydatów rozstrzygane są w jednej turze. Można głosować nawet na kogoś, kto ma 1 proc. w sondażach, a nie jest on skazany na przegraną tak, jak to dzieje się

w naszej prezydenckiej ordynacji. Przy zastosowaniu tej metody wyborca zaznacza na liście kandydatów preferowaną przez siebie osobę, przyznając jej jedynkę. Dwójkę przyznaje innej osobie, która jego zdaniem odpowiadałaby jej preferencjom, gdyby pierwsza nie uzyskała odpowiedniej liczby głosów. Trójką zaznacza trzecią w kolejności swych preferencji i tak do końca.

Tak działa pojedynczy głos przechodni (STV) – metoda, w której nie ma zmarnowanych głosów, a każdy wybiera najbardziej odpowiadających mu kandydatów. Kandydaci natomiast zmuszeni są skoncentrować się w kampanii wyborczej na meritum swojej kandydatury, a nie na wyborczej manipulacji.

Muszą zaoferować wyborcom więcej, coś konkretnego, a może nawet i wzniosłego, na co będą mogli ludzie głosować. Natomiast wyborca, będąc świadomy jednej tury, a nie dwóch, nie jest skłony do spekulacji, że lepiej od razu zagłosować na kandydata, który ma większe szanse według sondaży, niż na tę osobę, która rzeczywiście najbardziej go przekonuje.

No cóż, w polskich warunkach wprowadzenie takiej ordynacji to raczej bajka. Metodę tę musieliby uchwalić obecni politycy. Sami ocenicie, czy to możliwe. Przecież nie można oddać władzy ludziom, których wybiorą świadomi wyborcy. No nie?!

ANNA GRODZKA



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Gdzie są granice?

PLURALIS MAIESTATIS

Schengen kaputt

Wicemarszałek Sejmu RP Krzysztof Bosak na falach radia RMF powiedział: – Moim zdaniem formacjom obywatelskim trzeba zacząć nadawać pewne uprawnienia. Ludzie muszą mieć prawo chronić swoje domy, swoje dzieci, swoje szkoły, swoje żony, matki, córki.

Ani ze mnie żona, ani córka, ani matka Krzysztofa Bosaka, ale przyznam, że jak słyszę, że znowu ktoś chce mnie chronić, to zaczyna mnie patelnią śwędzić, a jest ciężka. Do murowanego entuzjazmu doprowadza mnie też bosakowe stwierdzenie: „prawo należy dostosować do wyzwań XXI w.”.

Bosakowi chodzi o to, że osoba, która nie jest funkcjonariuszem służb, nie może o nic pytywać drugiego obywatela. A nieprawda, panie Bosak, proszę wyjść ze swojej bańki i rozpocząć romans z polskimi urzędami. Jedyne, o co nie będą chcieli pana pytać, to może o długość chuja. Rozczarowanie, nie, nie dlatego, że chciałabym wiedzieć, ile pan ma – rozczarowanie, bo zdawało mi się, że Konfa jednak jest partią wolnościową, czyli deklarującą swobody obywatelskie. Czyli ja panu nie wadzę, pan nie wadzi mnie, a nam nie wadzą Janusz z Grażynką, a tutaj pan nagle oczekuje, że ja się będę Januszowi legitymować i spowiadać, bo Grażynka urzędaska już tego i tak wymaga. Nieładnie!

Do słów Bosaka w bardziej kulturalny sposób odniósł się Adrian Zandberg, przewodniczący partii Razem. – Polska

to nie Dzikie Zachód. W państwie od pilnowania porządku są profesjonalne służby działające w granicach prawa. Służba to nie zabawa. Nie każdy nadaje się do służby. Nawet (a może zwłaszcza) jeśli mu się wydaje, że jest szeryfem – powiedział. A ja sobie czekam na dalszy rozwój sytuacji. Popcorn i Coca-Cola kupione! No-spa toż.

Największe joby zebrał marszałek Szymon Hołownia, który odszedł od tradycji kultury masowego spektaklu i po prostu nocą ciemną a głuchą spotkał się z pisowskim europosem Adamem Bielanem. W chacie u tegoż. Był tam też prezes Jarosław Kaczyński. Lud miast i wsi wkurwia się, bo oto pozbawiono go możliwości uczestniczenia w imprezie. Ja mogę tylko napisać:

brawo, Hołownia! Nadal uważam, że najistotniejsze sprawy powinno się załatwiać w politycznych kuluarach. Podział zaś na wrogów i przyjaciół jest zwykle na wodzie palcem pisany.

Wkurzacie się na Hołownię? Po co? Dlaczego? W Łodzi na przykład samorządowcy partii Nowoczesna biją w samorządowych najwyższych partyjniaków z PO (wszakże koalicjantów), a nawet swego czasu zblatowali się nie tylko z PSL, ale i z częścią PiS-u pod wodzą byłej posłanki Agnieszki Wojciechowskiej van Heukelom, żeby dokopać (a i uszczknąć coś dla siebie ze złoza) drugiej części PiS-u związanej z przyjaciółką Jarosława Kaczyńskiego Janiną Goss. Można? Można. Widać w Łodzi jesteśmy twardsi i więcej splaya po nas jak po kaczorach.

Nie wiem, po co Hołownia wydał oświadczenie dotyczące owego „tajnego spotkania”. Kojarzy mi się ono z oświadczeniami hollywoodzkich aktorów przyłapanych na wciąganiu koki albo hollywoodzkich aktorów sfotografowanych z penisem w ustach prostytutki. A dajcie żyć i pozwólcie żyć innym – kuma pan, wicemarszałku Bosak? Nie żebym uważała, że i Zandberg momentami się nie zapędz. Bo się zapędz. W każdym razie, wracając do Hołowni jeszcze marszałka: „Twardo stoję na stanowisku, że – zwłaszcza w obecnych czasach – politycy różnych opcji powinni ze sobą rozmawiać, inaczej pozabijamy się nawzajem. Uważam to za normę, nie za odstępstwo od niej, i nadal będę tak właśnie, jako marszałek sejmu, postępował” – napisał na X. Spokojnie, nikt się z nikim nie pozabija. Jak to mawiamy na łódzkich Bałutach: „Kurwa kurwie łba nie urwie”. A mawiamy to z całym szacunkiem dla pań.

Tak czy siak, polecam, aby i państwo Czytelnicy od czasu do czasu opuszczali swoją bańkę i zapoznawali się z głosami przeciwnymi. Tylko nie przedawkujcie! Macie się zaszczepić, a nie wyładować z bolącą pompką na SOR-ze. I tak publicysta Grzegorz Górny na platformie wpolityce.pl napisał: „Przymusowy mechanizm relokacji uchodźców przypomina średniowieczne przywiązanie chłopca do ziemi. Nie da się zatrzymać nikogo wbrew jego woli w kraju, w którym istnieją otwarte granice. Dlatego Pakistańczyk przypisany do Bułgarii miałby tam pozostać, skoro w znacznie bogatszych Niemczech z ich rozwiniętym systemem socjalnym od lat istnieje diaspora pakistańska, która pomoże mu urządzić się w nowym miejscu? Żeby zatrzymać imigrantów

w wyznaczonych dla nich miejscach lokacji, należałoby więc nie tylko wprowadzić kontrole na przejściach granicznych, lecz także patrolować całą granicę”.

Coś w tym jest – mówi moje wszakże lewicowe serce. I dlaczego kogoś, kto urodził się wolny (a niewolnictwo i pańszczyzna podobno się skończyły), miano by na chłama zmuszać, aby tkwić jak kółek w płocie w miejscu, w którym tkwić nie chce? Jeśli nie jest więźniem ani klientem zamkniętego oddziału psychiatrycznego, to tego robić nie wolno. Nie wolno? Bosak, Zandberg, Hołownia – do odpowiedzi! Bardzo mi to wszystko śmierdzi bardzo, bardzo paskudnymi obozami... Strefa Schengen też mi śmierdzi – trupem.

IZABELA SZOLC



Rys. WIDJET

Żyj w ubóstwie, by zasłużyć na mieszkanie

Lewandowski, czyli kontrola biedy

Nowa Lewica nie ma w rządzie krztyny sprawczości. Dlatego produkuje projekty, którymi stara się przypodobać reszcie koalicji. Szkoda tylko, że są one antyspołeczne i, jak to się mówi, z dupy.

O pomysłach wiceministra rozwoju i technologii Tomasza Lewandowskiego pisała w „NIE” Idalia Dubicka („MdM, czyli Mieszkanie dla Murzyna”, nr 26/2025). W ostatnich tygodniach obserwujemy też wysyp artykułów o pojedynczych przypadkach „bogaczy” żyjących w mieszkaniach komunalnych – zawsze w kontrze do matek z dziećmi, które takich lokali nie mogą się doczekać. Nie dziwi więc, że pomysł zakazu dziedziczenia lokali komunalnych zbiera poklask. Problem w tym, że Lewandowski nie jest w stanie przedstawić żadnych danych, które potwierdzałyby skalę tego zjawiska. Bo ich po prostu nie ma. A mimo to wiceminister bohaterko rozwiązuje problem, który najpierw sam sobie medialnie wykreował.

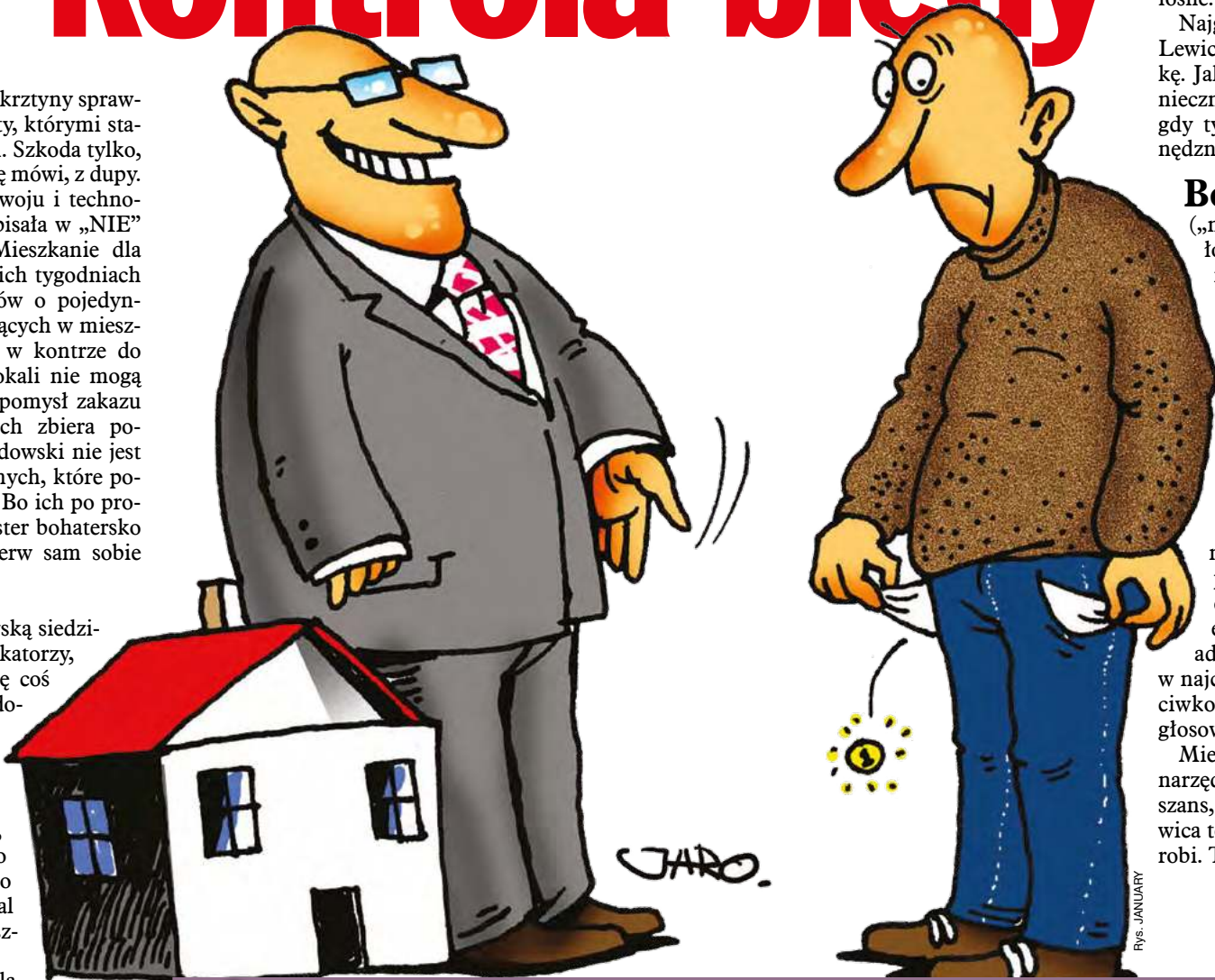
W piątek 4 lipca pod warszawską siedzibą Nowej Lewicy zebrał się lokatorzy, by przypomnieć partii, że jak się coś kiedyś obiecało, to wypadałoby dotrzymać (pamiętacie jeszcze hasło „mieszkanie prawem, nie towarem”?). Lewandowski nie chce bowiem z mieszkań komunalnych uczynić dobra wspólnego, tylko system nadzoru i selekcji. Co pięć lat kontrola dochodów, a po śmierci lokatora – dzieci won, lokal do zwrotu. No według niego mieszkanie to przywilej, nie prawo.

Pomysł Lewandowskiego to klasyczna próba zarządzania biedą poprzez biurokratyczne sito. Weryfikacja dochodów co kilka lat brzmi jak coś sensownego tylko wtedy, gdy samemu się nigdy nie czekało trzy miesiące na decyzję MOPS-u ani nie musiało się przeliczać alimentów na głowę dziecka. Minister najwyraźniej wybobraza sobie, że ubóstwo to zawód jak każdy inny – raz się zakwalifikujesz i już z górki. A przecież ludzie biedni to nie są eksponaty do obserwacji i kontroli, lecz obywatele, którzy raz mają więcej, raz mniej, raz w ogóle. System, który karze cię podwyżką czynszu za to, że wreszcie złapałeś normalną pracę, to nie pomoc społeczna, tylko ekonomiczna pułapka.

Tym bardziej że już dziś samo otrzymanie lokalu komunalnego graniczy z cudem. W wielu miastach progi dochodowe są ustawione tak nisko, że trzeba być niemal bez dochodu, żeby się zakwalifikować. Wystarczy jedna umowa-zlecenie albo parę stówek alimentów i już jesteś „za bogaty”, żeby dostać dach nad głową. Czyli: za biedny na kredyt, za bogaty na mieszkanie komunalne. Lewandowski nie chce naprawić tego systemu – on chce go jeszcze uszczelnić. I to nie od góry, tylko od dołu.

A może o to właśnie chodzi, żeby mieszkań komunalnych nie traktować jak szansy, tylko jak ostatni przystanek przed bezdomnością? Żeby ci, którym uda się wyrwać z ubóstwa, natychmiast czuli oddech urzędnika na karku? Weryfikacja dochodów to nie jest sprawiedliwość społeczna. To jest przekaz: „możesz mieszkać, o ile pozostaniesz biedny”.

To jest narzędzie do zastraszania zwykłych lokatorów. Ludzi, którzy żyją skromnie, ale stabilnie – i teraz mają się bać, że jeśli za bardzo im się w życiu poprawi, to stracą dach nad głową.



Drugi cios to zakaz dziedziczenia umów najmu. Dla wielu rodzin to jedyne zabezpieczenie, jedyny sposób, by dzieci nie zaczynały życia w debecie u dewelopera albo w kontenerze socjalnym na końcu świata. Aby miały szansę na życie lepsze niż ich stłamszeni transformacją starzy.

Zakaz dziedziczenia najmu to przepis na przetrwanie odpowiedzialności na młodych – niech sobie radzą, kredyt wezmą, u prywaciarza zamieszkają, albo kątem u rodziny. A jak już nie ma u kogo, to do schroniska. Państwo, które mówi: „twoje mieszkanie nie przechodzi na twoje dziecko, bo my je damy komuś innemu”, nie jest ani sprawiedliwe, ani nowoczesne. Jest po prostu żałosne.

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że Nowa Lewica próbuje to sprzedać jako lewicową politykę. Jakby mieszkanie komunalne było złem koniecznym, które trzeba jak najszybciej odebrać, gdy tylko lokator przestanie być wystarczająco nędzny.

Bo tak, panie ministrze, w tym haśle („mieszkanie prawem, nie towarem”) chodziło właśnie o prawo do mieszkania komunalnego dla zwykłych ludzi, a nie dla wystarczająco ubogich.

A gdzie w tym wszystkim jakakolwiek pozytywna wizja? Gdzie budowa nowych mieszkań? Gdzie wsparcie dla lokatorów, którzy nie chcą żyć z opieki, tylko po prostu godnie mieszkać? O tym cisza. Zamiast tego – kontrole, raporty, selekcja dochodowa i straszenie cwaniakami, którzy mieszkają za tanio.

W praktyce nie chodzi o żadne uszczelnienie systemu. Chodzi o to, żeby biedni pozostali biedni, a jeśli za bardzo się wychyli, to ich przywrócić do pionu. Albo eksmisją, albo podwyżką, albo szantażem administracyjnym. To polityka klasowa w najczystszej postaci – tylko prowadzona przeciwko tej klasie, która kiedyś miała na lewicę głosować.

Mieszkanie komunalne to nie jałmużna. To narzędzie, które powinno służyć wyrównywaniu szans, a nie trzymaniu ludzi w biedzie. Jeśli Lewica tego nie rozumie, to niech lepiej już nic nie robi. To zresztą wychodzi jej znakomicie.

DAMIAN DUSZCZENKO

Życie w DOBROBYCIE

● Rząd chwali się, że do gospodarki trafiły miliardy euro z Unii. Tylko że gospodarka najwyraźniej o tym nie wie. Najnowsze dane GUS pokazują, że nastroje przedsiębiorców są mniej więcej takie jak prognoza pogody na listopad. W każdej branży – poza hotelarstwem i gastronomią – więcej firm planuje zwolnienia niż zatrudnienia. W handlu detalicznym 11 proc. firm planuje redukcje, a tylko 5 proc. nowe etaty. W budownictwie – 11 proc. w jedną stronę, 6,5 proc. w drugą. W przemyśle 10,8 proc. chce zęgnąć się z pracownikami, 8,5 proc. chce ich witać. Co ciekawe, akurat w turystyce – 9,5 proc. firm szuka ludzi do pracy, tylko 6,2 proc. myśli o cięciach. Wskaźnik koniunktury w przemyśle spadł w czerwcu do -7,7 pkt, a w budownictwie do -4,7 pkt. Sklepy detaliczne przeszły od optymizmu do pesymizmu – jeszcze w maju było pozytywnie, a w czerwcu już -0,9 pkt. Transport spadł do -4,5 pkt, a informatycy i ludzie od komunikacji na przyszłość patrzą z rezerwą. Zupełnie inaczej jest w finansach – tam wskaźnik wyniósł 25,3 pkt, a w turystyce 17,3 pkt. Czyli sektor, który zarabia na pieniądzach, i ten, który zarabia na urlopach, jako jedyne mają powody do radości. Gospodarka niby wspomagana miliardami, ale inwestycje lecą w dół, produkcja przemysłowa nie może się podnieść, firmy planują cięcia, a nastroje są jak po przejściu huraganu. A analitycy zdziwiają się, że NBP – żeby gospodarka całkiem nie padła na pysk – nagle obniża stopy o ćwierć punktu.

● Prawdopodobnie największy wpływ na Głapińskiego et consortes miało to, że czerwcowy PMI dla polskiego przemysłu zjechał do 44,8 pkt – najniższego poziomu od 20 miesięcy. Dla porównania jeszcze w kwietniu przekraczał 50, czyli granicy oddzielającej rozwój od regresu. Ekonomści spodziewali się wyniku

w okolicach 48 punktów. Zamiast tego – twarde lądowanie. A strefa euro? Jej PMI podskoczył do 49,5 pkt. Czyli w Europie coś się rusza, tylko nie w Polsce. Nowe zamówienia? W dół trzeci miesiąc z rzędu, i to najszybciej od października 2023 r. Produkcja? Zjazd – największy od ponad dwóch i pół roku. Zatrudnienie? Cięcia czwarty miesiąc w tym roku. Zakupy środków produkcji? Drastyczne ograniczenia. Zapasy surowców? Najszybszy spadek od stycznia. I to wszystko w kraju, który miał być europejskim czempionem odbudowy po pandemii.

● Na domiar wszystkiego z badania przeprowadzonego w maju na wielkiej próbie tysiąca firm jasno wynika, że 74 proc. z nich nie planuje żadnych zmian kadrowych w drugiej połowie roku. Aż 41 proc. spodziewa się stagnacji, 22 proc. przewiduje recesję, a tylko tyle samo wierzy we wzrost gospodarczy. Można więc powiedzieć, że optymiści to dziś wymierający gatunek. Co ciekawe, aż 78 proc. firm uważa swoją sytuację finansową za dobrą lub bardzo dobrą – wśród dużych firm aż 91 proc. tak twierdzi. Najlepiej mają się branże finansowa, ubezpieczeniowa i IT. Tylko co z tego, skoro liczba prowadzonych rekrutacji w pierwszym półroczu spadła z 73 proc. do zaledwie 39 proc.? Takiej posuchy na rynku pracy nie było od lat. Podwyżki? Raczej miraż. 72 proc. firm zamierza zostawić pensje na obecnym poziomie, tylko 14 proc. mówi o ewentualnych wzrostach, które nie przekroczą 2 proc. Czyli w praktyce tyle, co nic – szczególnie przy wroście kosztów życia. Jeszcze ciekawiej robi się w przypadku zatrudnienia sezonowego. W 2024 r. planowało je 34 proc. firm.

W 2025 r. – już tylko 10 proc. Chętniej biorą stażystów niż pracowników sezonowych, bo talentów? Brakuje. Ale nie znaczy to, że pracownicy mogą przebiegać w ofertach. Dwie na trzy firmy mają problem ze znalezieniem ludzi, a mimo to wolą poczekać lub zatrudniać tylko tych, którzy sami będą się kształcić. Zresztą aż 83 proc. pracodawców twierdzi, że patrzy dziś bardziej na „motywację” niż kompetencje. Czyli nie liczą na podwyżkę, tylko weź udział w darmowym kursie „Jak być szczęśliwym mimo wszystko”. Pracodawcy rezygnują z wy magań: 47 proc. z technologii, 37 proc. z minimalnego doświadczenia, 14 proc. z języków obcych. Szukają ludzi, którzy zrobią wszystko, byle tanio. Testują ich próbkami pracy, assessmentami i innymi cudami – by sprawdzić, kto najwięcej da, zanim cokolwiek dostanie. Na koniec – cytując z raportu: „Perspektywy na kolejne miesiące pozostają niepewne”. Dobre czasy dla pracownika? Może kiedyś były. Dziś – jeśli są – to chyba tylko w rządowych deklaracjach.

● Państwo jednak musi udawać, że działa. Najnowsza akcja Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów wobec Profi Credit Polska to więc pokazówka z cyklu: „Jak udawać, że walczy my z patologią, nie ruszając dużych graniczy”. UOKiK nałożył 10,4 mln zł kary na tę firmę pożyczkową za to, że nie pozwalała klientom na wcześniejszą spłatę kredytu w sposób zgodny z ustawą. Klient, który chciałby zakończyć zadłużenie przed czasem, musiał zapłacić wszystko – bez żadnego uwzględnienia, że spłaca wcześniej. A przecież zgodnie z przepisami każdy kredytobiorca ma prawo oddać pieniądze przed terminem i odzy-

skać część opłat i prowizji. Prezes UOKiK w ostrym tonie potępił te praktyki. – To niedopuszczalne – powiedział. Tyle że podobne rozwiązania od lat stosują banki. W ich przypadku też trudno odzyskać prowizję przy wcześniejszej spłacie. Nie wspominając już o tym, że banki mają trzy lata, by przeciągać rozliczenia kredytu. A tam nikt kary nie dostał.

● Rząd nie potrafi zapewnić pracy, wzrostu wynagrodzeń ani taniego kredytu. Ale za to – i to trzeba uczciwie przyznać – planuje, by po śmierci obywatelom było wygodniej. Z początkiem 2026 r. zasiłek pogrzebowy wzrośnie z 4 do 7 tys. zł. Po kilkunastu latach bez zmian. Ale to nie koniec. Pieniądze mają być wypłacane szybciej – nawet bez potrzeby wydawania decyzji przez ZUS. Jeśli tylko koszty pogrzebu poniesie jeden członek rodziny, a nie np. dom pomocy społecznej czy gmina – procedura będzie prosta. Bez decyzji, bez czekania. Przelew w 14 dni. A jeśli koszty poniesie ktoś spoza rodziny – np. sąsiad, znajomy, zakon czy spółdzielnia – to decyzja też będzie szybciej niż dziś. Bo zamiast 30 dni ZUS ma się uwinąć w dwa tygodnie. A potem znów – maksymalnie 14 dni na wypłatę. Jak na realia państwowych instytucji to niemal błyskawica. Zakłady pogrzebowe, które do tej pory po cichu i bez przepisów załatwiali formalności za rodzinę, teraz będą działały oficjalnie. Rząd wpisał ich pośrednictwo do ustawy. Wisienką na tej wieńczącej trumnie reformie jest możliwość dodatkowego zasiłku celowego. Dla tych, którzy muszą przewieźć ciało z zagranicy albo zapłacić za dłuższe przechowywanie zwłok. Tu nie ma progu dochodowego, nie ma limitu kwoty – wszystko zależy od sytuacji. Ale jeśli potem pieniądze wpłyną z testamentu lub ubezpieczenia, to świadczenie trzeba będzie zwrócić. I jeszcze jedna pośmiertna nowość – coroczna waloryzacja zasiłku pogrzebowego. Od 2026 r., jeśli inflacja przekroczy 5 proc., państwo ma z automatu podnosić wysokość świadczenia. Czyli tak jak z emeryturą. A że ostatnio inflacja w Polsce lubi sobie poprzekraczać, to może i po śmierci będziemy indeksowani lepiej niż za życia.

TTJ

Rys. OBYWATEL JANEK

Na moim świadectwie maturalnym jest tylko jedna czwórka. Z biologii, czyli z „bioli”. Ta czwórka mnie uwierała i bolała, odstając swoim oschłym i krótkawym „db” od pięknego słupka równych trójliterowych ocen. Z góry na dół same „dst”, a pośrodku jeden kulfon. Do dziś mnie to wkurza.

Bo ja zawsze byłem dumnym trójjarzem. Miałem ciekawsze zajęcia niż szkoła, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, aby wzbraniać innym starań o jak najlepsze stopnie oraz czerwone paski, które niczym świeża sznycła raniły czerwieni świadectwa grzecznych dzieci. Dawali je za średnią od 4,5 w górę, co wydawało mi się niepojętym szczytem oportunistu. Dobre stopnie dostawało się wszak za klepanie jak papuga tego, co pani podyktowała wcześniej do zeszytu. Ze Mazepa to, a Kordian znowu tamto. Albo że pan-tofelek ma rżeski, a Wenezuela kopie 100 mln ton antracytu itp.

W tamtych miłych czasach, gdy wojny i zimy były zimne, a lata w sam raz, rodzice bali się nauczycieli i nie śmieli niczego się od nich domagać. Bardziej już domagali się od dzieci – dobrych stopni. Owszem, zdarzało się, że ku najwyższemu wstydywidi dziecka mama przychodziła do pani z prośbą o przepytanie raz jeszcze „na tę czwórkę”, ale zawsze z respektem. Nauczyciel był przecież osobą urzędową, z przymieszką autorytetu kapłańskiego. Albowiem szkoła była „świątynią wiedzy”.

Wszystko to już przeszłość. Dziś nauczyciel to niemalże popychadło, od którego można żądać piątek i szóstek, pokrzykiwać na niego, jak rządcą na folwarku, a jak nie chce dać po dobroci, to się na niego skarży wyżej. Uczniowie też nie w ciemnię bici i swoje prawa znają.

To może nawet dobrze, że uczniowie mają dziś więcej świadomości i więcej godności, ale źle, i to bardzo, że ich pierwsza szkoła publicznego życia, jaką jest ta szkoła, do której chodzą, rozpóściera przed nimi spektakl konformizmu, obłudy i zastraszenia. Bo takie jest właśnie to współczesne szkolne teatrum.

Szkoła jest dziś w stanie moralnego rozchwiania i niewiele ma już w sobie autorytetu. Dlatego też słabo nadaje się do roli „dystrybutora prestiżu”. Jej kary i nagrody łącznie z czerwonymi paskami mogą być postrzegane jako śmieszne i uzurpatorskie. A stąd już tylko krok do wysunięcia wobec szkoły żądania, aby wycofała się z paternalistycznej praktyki oceniania dzieci, a więc tym samym segregowania ich wedle „osiągnięć szkolnych”, czego wyrazem jest ów nieszczęsny pasek. Takie to jest smętne społeczno-moralne tło osobliwej debaty publicznej wokół czerwonych pasków. Dla etyka jest ona ciekawa przez to, że padają w niej – może trochę przypadkowo, ale jednak – argumenty moralne. Warto je przemyśleć.

Przeciwnicy pasków mówią o niezdrowej presji rodziców wywieranej na nauczycielach, a przede wszystkim na samych dzieciach, aby odpowiednio dawali i zdobywali najwyższe stopnie, skutkujące upragnionym paskiem. Mówią, że rodzice kompensują sobie w ten sposób

Czerwone paski, czerwone stringi

Wyróżnianie uczniów na cenzurowanym



własne niepowodzenia albo traktują swoje dzieci jako element własnego życiowego sukcesu. Dziecko zaś, od którego oczekuje się czerwonego paska, ulega szantażowi emocjonalnemu, czując, że mogłoby zawieść i rozczarować rodziców, gdyby nie udało mu się zdobyć upragnionego przez nich szlaczka. Dlatego samo zaczyna go pragnąć i robić wszystko, aby go otrzymać.

Inny argument podważa samą wartość wysokich ocen i ambicji, by je zdobywać. Bardzo dobre oceny niekoniecznie dostają najzdolniejsze i najbardziej zaangażowane w naukę dzieci, gdyż na przeszkodzie ich uzyskaniu mogą stanąć różne czynniki, które dzieci w żaden sposób nie deprecjonują. Należą do nich posiadanie innych zainteresowań, które kolidują z nauką szkolną (u mnie była to filozofia), neuroatypowość powodująca wycofanie albo nadpobudliwość, a także specyfika indywidualnych uzdolnień bądź sposobu bycia dziecka. Do ocen nie należy więc przywiązywać wielkiej wagi.

Tak, wszystko to prawda! Ale to nie paski są winne, lecz niedojrzały rodzice traktujący swoje dzieci jak ambitny projekt, i nauczyciele, którzy zbyt poważnie i sztywno traktują proces oceniania, przedkładając cyferki nad inteli-

gentne podsumowanie starań i niedociągnięć dziecka, jego uzdolnień i deficytów, osiągnięć i braków.

Likwidacja pasków nie usunie tych wad. Za to gdy szkoła jest mądra, to wszystko to dzieciom i rodzicom wyjaśnia. Wyjaśnia, że nie uczymy się dla stopni, ale dobre stopnie też coś o dziecku mówią.

Że można mieć różne ambicje, ale nie należy odbierać dzieciom cieszącym się z dobrych stopni tej radości, jaką mają z ich zdobycia dzięki ciężkiej pracy. Nagradzanie jednych dzieci nie oznacza karania ani nawet deprecjonowania innych. To wszystko musi być dla rodziców i dla dzieci jasne. I jest powinnością szkoły, aby to wyjaśnić.

A wracając do świata dorosłych. Generalnie czerwone paski są wynalazkiem dość perwersyjnym. Kolor czerwony jest uwodzicielski, a czerwona linia podkreśla coś, co warto podkreślić, najczęściej lubą krzywiznę ciała. Czerwone paski na kartkach nie robią aż takiego wrażenia na starzych satyrach, ale czerwone stringi na biodrach plażowiczek to już bardziej. I wprawdzie nie ma żadnej gwarancji, że łona, w które się wznajają, są żyźniejsze i wdzięczniejsze niż u pań w kostiumach jednocześnie, to z pewnością czerwone stringi dają pewną obopólną radość. Wystarczy wyzbyć się zazdrości i się nie porównywać, a wtedy każdy będzie zadowolony. Zadowolona będzie piękna panna, że pokaże pupę i czerwony trójkącik, i zadowolony będzie brzydki pan, który rzuciwszy okiem, znów uprzytomni sobie, że to nie jemu się te cuda pokazuje, jakkolwiek wie on aż za dobrze, co jest w środku, i może się dziś bez tego obejść.

Tak samo jest z paskami. Można mieć w nosie walkę o stopnie, rywalizację, a zwłaszcza wkuwanie. Ale to nie znaczy, że trzeba innym bronić. Skoro nie chce się brać udziału w tej grze, to nie wypada od innych żądać, aby też nie grali. W przeciwnym razie wychodzi na to, że jednak tak w ogóle to może chciałoby się tej nagrody, ale skoro nie ma się ani motywacji, ani realnych szans, by ją zdobyć, to zamiast tego pragnie się odebrać innym możliwość jej uzyskania. A to bardzo brzydka postawa. Nazywa się „pies ogrodnika”, a w etyce „resentyment”.

Ale i szkoła ma swoje święte prawo do stawiania ocen i nagradzania szczególnie pilnych uczniów. Odmawianie komuś prawa do oceniania i chwalenia, a już zwłaszcza odmawianie tego instytucji powołanej do uczenia i sprawdzania tego nauczania efektów, to wyraz lekceważenia, a nawet pogardy. Kimże wy jesteście, nauczyciele, że śmiecie nas oceniać? Czy wyobrażacie sobie, że możecie uradować nas swoimi marnymi paskami albo zasmucić ich brakiem?

Walka z czerwonymi paskami na świadectwach to walka o poniżenie i zdeprecjonowanie szkoły. O odebranie nauczycielom resztek autorytetu. A do tego bez żadnego powodu za jednym zamachem odbiera się radość tym dzieciom, które o pasek by się starały i go dostały. Jednak tocząca się dyskusja i tak zrobiła swoje – paski przestaną być już tak pożądane, skoro są na cenzurowanym. Kto na tym zyska? Pewnie ci uczniowie, którzy bardzo by chcieli mieć czerwony pasek, lecz nie udaje im się go zdobyć. W każdej klasie jest jedno albo i dwoje takich dzieci. Być może więc najlepiej byłoby zachować czerwone paski tylko w starszych klasach. Łzy dziesięciolatek, której zabrakło jednej dziesiątej do czerwonego paska, są wystarczającym powodem, aby przenieść tę zabawę do wyższych klas. Albowiem życie jest ciężkie i każdy niepotrzebny dziecięcy smutek jest skazą na tym jedynym kawałku życia, które może być szczęśliwe.

JAN HARTMAN

Refleksja i autorefleksja

Rozsądne wypowiedzi liberałów to rzadkość, więc trzeba je odnotowywać

Otwarcie przyznaję, że kiedy włączałam wywiad z prof. Marcinem Matczakiem przeprowadzony przez Arkadiusza Bartosiaka i Łukasza Klinke (podcast Wywiadowcy), przyświecały mi cele dalekie od szlachetnych, a zdecydowanie bliższe uprawiania pogodnej sztydery. Po wielu wypowiedziach profesora, których nie można było nazwać inaczej niż skrajnie snobistyczne lub otwarcie klasistowskie (a niekiedy również wskazujące na skrajną hipokryzję, bo gdy doradzał nam 16-godzinną harówkę, większość z nas doskonale zdawała sobie sprawę, iż jego również osławiony syn z pewnością w tym duchu wychowywany nie był), spodziewałam się odczuwać rozbawienie lub gniew. Ku mojemu pozytywnemu zaskoczeniu muszę przyznać, że nieco pokonały mnie moje własne uprzedzenia i winna jestem profesorowi oddać sprawiedliwość. Choć mogę zapewnić, że jeszcze nie raz będziemy się śmiać z liberałów – albo nie tyle z nich samych, ile z głupot, które wygadują.

Jedną z pierwszych rzeczy we wspomnianym wywiadzie, której nie spodziewałam się po Marcinie Matczaku, było dosadne, acz konkretne wyjaśnienie osób szczujących na wyborców Karola Nawrockiego i postawienie słusznej diagnozy, dlaczego nieidealny, uzależniony od nikotyny, wytatuowany ekskibol wzbudził w Polakach większą sympatię niż drętwy i nijaki inteligent, jakim jest Rafał Trzaskowski. Polacy wybrali prezydenta, który mimo swojego wykształcenia i wysokiej pozycji społecznej jawi się jako bardziej ludowy,

a wręcz ludyczny. Cechy prezydenta elekta, które stanowczo odręcają wielkomięską śmietankę intelektualną, dla ludzi z mniejszych ośrodków stanowią wartość dodaną. I to nie dlatego, że są głupi – są zmęczeni poczuciem niższości. Reakcje liberalnej klasy średniej wyższej na wygraną Nawrockiego są tego najlepszym potwierdzeniem: wykształceni Polacy z wielkich ośrodków miejskich charakteryzują się naprawdę chorobliwą namiętnością do wpędzania Polski B w kompleksy. Słowa Matczaka, ojca rapera, przypomniały mi swoją drogą podsumowujące drugą turę wyborów wypowiedzi Ryszarda „Peji” Andrzejewskiego, który stwierdził, że niestety spotkał wielu ludzi takich jak Karol Nawrocki, ale prawdziwy problem polega na tym, że nigdy nie spotykał kogoś takiego jak Rafał Trzaskowski.

Matczak oczywiście nie byłby sobą, gdyby nie skrytykował obrażania największego z Polaków Jana Pawła II lub nie zinterpretował źle powodów, dla których progresywno-lewicowe środowiska chciałyby zakazać spowiedzi dzieci. Aczkolwiek w ciągu prawie dwuipółgodzinnego materiału, w trakcie którego zρέcznie rozprawił się z pravicowymi ekstremistami i postulował bardziej otwarte i tolerancyjne społeczeństwo, pojedyncze kocopoły są naprawdę do wybaczenia.

Ostatnie dwa filmiki z serii „Prawem i Rozumem” na YouTube’owym kanale profesora pogłębiają refleksje wysunięte u Wywiadowców. W jednym zgrabnie rozprawia się z propozycjami wyborczej eugeniki intelektualnej, którą pół żartem, pół serio zaczęło wysuwać sporo liberalnych dziennikarzy i publicystów po wygranej Karola Nawrockiego. W drugim poświęca analizie samodzielnie wykonane za pomocą sztucznej inteligencji badania, rewidując największych wrogów trzech wiodących partii politycznych, skupiając się głównie na Konfederacji.

W wypowiedziach profesora Matczaka odczuwalna jest autorefleksja, a taka autorefleksja dla kogoś z wysoką pozycją społeczną, długim stażem w przestrzeni publicznej oraz ugruntowanym auto-

rytetem jest szalenie trudna – dlatego warto to docenić. Sam Matczak zresztą wspominał u Bartosiaka i Klinke, jak łatwo jest popaść w próżnię fanklubów składających się wyłącznie z yes-manów, którzy nie skrytykują cię albo z powodu zaślepienia, albo ze strachu przed narażeniem się.

Życzyłabym sobie, żeby Platforma Obywatelska i politycy z nią związani jak Donald Tusk i Rafał Trzaskowski trochę posłuchali tego, co prof. Matczak ma do powiedzenia.

Bo z takimi liberałami i z takimi centrowymi elitami intelektualnymi można siadać do stołu i dyskutować, licząc, że przynajmniej zostanie się wysłuchanym i potraktowanym poważnie. Ponieważ tacy liberałowie widzą niebezpieczeństwo ze strony skrajnej prawicy, nie bagatelizują go i nawet jeśli w dalszym ciągu jest to dyskurs centrowo-konserwatywny, to o wiele bardziej ucywilizowany niż skrajny neoliberalizm spod znaku *laissez faire* i złotego węża albo ten rozwodniony i bezpłciowy platformerski.

Czy to znaczy, że dołączam teraz do fanów profesora Matczaka i zgadzam się z całym zestawem prezentowanych i ucieleśnianych przez niego poglądów? Nie, aczkolwiek cieszę się, że ponownie dołączył do grona osób, których eksperckie opinie ze względu na niewątpliwą wiedzę i doświadczenie mogę brać pod uwagę, tak jak dzieje się to w przypadku mojej ulubionej konserwy, jaką jest Witold Jurasz.

Mam nadzieję, że jest to bajka z morałem zarówno dla mocno okopanej w swoich racjach strony liberalnej, jak i dla strony lewicowej, która również miewa problemy z dostrzeżeniem belki w swoim oku.

ANTONINA STEFFEN

Śmierć jak szklanka wódki

Żeby nie było makabrycznych morderstw i przemocy, musiałoby nie być ludzi

Po zabójstwie ortopedy w Krakowie i portierki z Uniwersytetu Warszawskiego przez kilka dni politycy zapowiadali, że coś zrobią, żeby było bezpieczniej. I pewnie zrobią. Napisać nową ustawę, wprowadzić kolejne regulacje, dochodząc do wniosku, że wszystko jest cacy. I będzie, bo horror z campusu UW statystycznie nie powinien zdarzyć się przez kolejnych kilkadziesiąt lat. Podobnie jak uśmiercenie medyka w przyszpitalnej przychodni.

Politycy wiedzą wszak, że na najgłośniejsze medialnie morderstwa należy reagować jakąś zmianą prawa. Czy ona będzie działała, czy nie, istotne nie jest. Ważne, żeby opinia publiczna wiedziała, że władza czuwa. A że ustawa Kamila jakoś nie zapobiegła kolejnym zabójstwom dzieci, że ustawodawstwo antyprzemocowe nie zmniejszyło skali przestępstw w rodzinach? Co z tego, że od lat w Polsce zwalczą się alkoholizm? Że idą na to miliardy złotych?

Dziesiątkom zabójstw wywołanych przez gorzałę media poświęcają tyle czasu i miejsca, ile jest konieczne do przedrukowania bądź odczytania stosownego komunikatu policji.

Do morderstw domowych się przyzwyczailiśmy. Ich liczba, miast wywołać falę medialnej wrzawy, spowszedniała.

Chatka z procentów

Trójka progenitury 31-letniego pana Jasia i 26-letniej pani Małgosi została półsierotami, gdy na skutek niezgody na nazywanie jej kurwą pani Małgosa zamachnęła się, by dać panu Jasiowi w twarz. Pan Jaś w celu uniemożliwienia jej godzenia w jego integralność cielesną, chwycił ją za szyję. W reakcji kobieta złapała za leżący na „na szafce przy drzwiach” nóż z 13-centymetrowym ostrzem i bez problemu rozpruła ostrzem panajasiowe osierdzie. Wsiedzie zresztą też.

„Nie zastanawiałam się, za co chwytam, bo mnie dusił, ledwo mogłam

oddychać. Gdyby to był widelec albo łyżka, też pewnie bym go złapała” – opowiadała potem pani Małgosa policjantom, prokuratorowi, sędziom i dziennikarzom. Tak samo jak o ghenennie, której mimo antyprzemocowych przepisów prawnych przez pięć lat doświadczała od partnera. Pan Jaś bowiem był alkoholikiem i w związku z tą przypadłością co jakiś czas znęcał się nad żoną – jak to ujęto w aktach sprawy – „fizycznie, psychicznie i seksualnie”. Dla opieki społecznej i policji było to jasne, gdyż stado miało przyznanego kuratora, no i założoną na policji Niebieską Kartę.

Po wbiciu noża w pana Jasia pani Małgosa jęła tamować krwotok, a gdy nie przynosiło to skutku, zadzwoniła po pogotowie. Po ratownikach na miejscu pojawili się policjanci i prokurator.

Media miały używanie, opisując, w jakim stanie musiały być maltretowana kobieta, że zabiła. Ubaw po pachy mieli też sąsiedzi, których wiedza znacznie różniła się od tego, o co byli pytani przez sąd, policję i dziennikarzy.

Według nich pan Jaś owszem pił i spuszczał pani Małgosi łomot, ale to dlatego, że kobieta całymi dniami krzątała się za alkoholem, a po pijaku potrafiła przyprowadzać do domu towarzystwo.

Nikt z sąsiadów nie powtórzył publicznie, że pan Jaś był w związku z kobietą uzależnioną od wódki w co najmniej drugim pokoleniu. Na umór piła jej matka, także jej ojciec. Nie dziwota zatem, że to procenty połączyły ją z pijącym wszak panem Jasiem, który też przejął chorobę alkoholową wraz z genami ojca.

Niemile opinie o pani Małgosi nie przebiły się jednak do świadomości sądu. Małgorzata S. została uniewinniona, ale prokuratura odwołała się

od wyroku. Ten został jednak podtrzymany w drugiej instancji.

Dobro większe niż życie

Pani z Jedliny Zdroju była jedyną żywicielką rodziny, pracowała za granicą, gdzie opiekowała się osobami starszymi. Jej mąż nie pracował, w związku z czym niełożył na rodzinę, a poza tym był uzależniony od

BO BABY TO
TRZEBA ŁAĆ!



alkoholu. Uchodził jednak za osobę spokojną, a jego żona za heterę, określaną przez sąsiadów jako opryskliwą i w związku z tym nielubianą. Parę lat temu odsiedziała nawet osiem miesięcy za fizyczne znęcanie się nad mężem. Potem oskarżano ją ponownie o bicie małżonka, ale ostatecznie sąd w apelacji umorzył postępowanie przeciwko niej ze względu na niską szkodliwość społeczną czynu.

Któregoś dnia rodzinny dom nawiedził syn państwa i zastał w nim związa-

ne sznurówką ciało ojca owinięte w dywan. Nieboszczyk był umazany krwią, miał rany na całym ciele oraz połamane żebra, obrażenia nóg i roztrzaskaną głowę. Syn zadzwonił na 112.

Przyjechała policja, a pani początkowo przyznała się do winy, ale później wszystko odwołała. Twierdziła, że pijany mąż uderzył ją, znowu nie dołożył się do rachunków i wszczął awanturę. Dlatego uderzała go rękoma po głowie i ciele, ale nie użyła narzędzia, więc kiedy szła spać, żył. Ponieważ jednak nie potrafiła uzasadnić, dlaczego kupiła łopatę w markecie w Wałbrzychu, a na dodatek poprosiła sąsiada o zakopanie zwłok, na co ten się nie zgodził, to prokuratura nie miała problemu ze sporządzeniem aktu oskarżenia.

W małej miejscowości pod Krakowem 38-letnia pani Karolina ugodziła nożem swojego męża w klatkę piersiową, broniąc się przed gwałtem. Mąż oczywiście jak zwykle był pod wpływem. Zaś wymuszenie seksu było standardem w związku. Prokuratura domagała się dla niej ośmiu lat więzienia. Skończyło się na Sądzie Najwyższym, który ostatecznie uniewinnił kobietę, uznając, że działała w obronie koniecznej. Bo jak sąd podkreślił – wolność seksualna kobiety jest dobrem ważniejszym niż życie napastnika.

Najlepsze prawo na świecie

W Czarnym Dunajcu 62-letnia kobieta alkoholiczka zabiła siekierą męża z problemem alkoholowym. Zrobiła to w obronie własnej po tym, jak ten próbował ją po raz kolejny pobić i zmusić do seksu. W prokuraturze stwierdziła, że zabiła, by położyć kres fali wieloletniej przemocy w domu, w którym dochodziło do libacji alkoholowych i przemocy.

41-latką z Kalisza, która mając 2,6 promila alkoholu we krwi, śmiertelnie dźgnęła nożem 52-letniego

konkubenta, usłyszała w sądzie, że idzie siedzieć na 10 lat za zabójstwo mężczyzny. Tłumaczenie, że nie chciała zabić konkubenta, a jedynie go uspokoić, nie przekonało sądu. Pewnie dlatego, że świadkowie zeznawali, że to wiecznie nabombiona kobieta wszczyniała awantury i była agresywna.

Danuta, żona pana Dariusza z Radzyna Podlaskiego, piła od lat i robiła mu obciachy oraz awantury. „Łyżki z domu wynosiła, żeby sprzedać na złom i mieć na alkohol. Potrafiła pić przez miesiąc. Nie dbała o dom i o siebie” – opowiadał pan Dariusz o małżonce. Nie wspominał za to o tym, że to on dostał wyrok za znęcanie się nad nią. A dostał, bo pani Danuta zwykła go wyzywać od skurwysynów i lajz. Państwo polskie wobec małżeństwa zachowywało czujność, w związku z czym małżonkowie byli pod nadzorem służb socjalnych, a na policji mieli założoną Niebieską Kartę. Wyrok niczego w postępowaniu pana Dariusza nie zmienił. Stała się walczyć z chorobą alkoholową żony jak umiał. Ale nie umiał, bo nikt nigdy go tego nie nauczył. Więc uspokajał. Aż za bardzo. Kiedyś bowiem w celu uspokojenia małżonki przyłożył jej dłoń do szyi i – zdaniem patologów – trwał w tej pozycji kilka minut. Za co dostał 12 lat.

Alkoholików płci obojga mamy około miliona. Od dziesiątków lat choroba alkoholowa jest opisana, metody terapeutyczne wypracowane, a państwo co roku na walkę z uzależnieniem od wódki wydaje niemal 2 mld zł. Są ustawy, rozporządzenia i szczegółowe procedury.

Tysiące lekarzy, terapeutów, kuratorów i ludzi z Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych i MOPS-ów oraz policjantów bierze kasę za to, żeby coś z pijakami robić. A efekt od lat jest ten sam – dziesiątki zgonów rocznie, które nikim już nie wstrząsają, bo przecież wszystko, co można było w prawie zmienić, już zmieniono.

TADEUSZ JASIŃSKI

SŁOWO CZERWONE

Bieda powszechna

Kiedy zaczyna być większością

Coraz więcej pojawia się publikacji o ciężkiej doli ludu pod zaborami czy w II Rzeczypospolitej. Historia widziana z perspektywy chłopskiej chałupy, a nie pańskiego dworu wypełnia istotną lukę w naszej wiedzy o świecie. Od kiedy władza ludowa podzieliła między chłopów pańską ziemię, skończył się w Polsce głód.

W dzisiejszej Polsce nie ma nędzy. Jest tylko zwykła bieda. O tej biedzie nie pisze się bestsellerów. Bo jest nieefektowna. Bo zawsze można się zachnąć, że dzieci żyjące z dala od jakichkolwiek szans awansu społecznego mają po smartfonie. Bo dziecko bez tego gadżetu jest dotknięte skrajnym wykluczeniem klasowym w klasie, do której chodzi. Jedni rodzice kupują je w salonach, inni – w lombardach po obniżonej cenie, bo już używane, bo zabrano je jakiemuś innemu dziecku, którego rodzicom zabrakło na rachunki, na życie.

Dla biednych wszystko było zawsze „za dobre”. Pamiętam te komentarze pań z opieki, które oburzały się, że w mieszkaniach, gdzie brakuje na czynsz, są płaskie telewizory. I to w czasach, gdy innych już na rynku nie było.

Bieda wiąże się z upokorzeniem. Coraz więcej dóbr stało się standardem. W miejscowości, z której nie ma żadnego transportu poza samochodem, każdy musi mieć samochód, żeby dojechać tam, gdzie jest praca. Dlatego nie było nic dziwnego, że za pierwsze 500 plus kupowano samochody. Po to, by dziecko nie musiało się wstydzić rodziców, którzy zasuwać na piechotę albo rowerem po kilkanaście kilometrów i więcej. Z tej biedy kpiono, wieszając na wypasionych furach napisy „kupione za 500 plus”.

Przedmiotem kpin, i to okrutnych, stali się bezdomni czy ludzie mieszkający pod złym adresem. W wielu miejscowościach eksmitowano

dłużników czynszowych do miejsc, które z tego powodu cieszyły się złą sławą. W kulturze wielu ludów najokrutniejszą karą było wygnanie. Dziś zesłanie pod zły adres, dokąd nikt nie chce trafić, to jest takie wygnanie. Wyrzucenie poza nawias. Bo ludzie, którzy jakoś sobie radzą, nie mają życzenia widzieć tych, którym się źle powodzi. Najmarniejsze osiedle spółdzielcze ograda się drutem, żeby obcy, niepowołani się tam nie wdarli. Odgradzamy się od tych gorszych, którzy nie mają na własność niczego, co mogliby ogrodzić murem, płotem, częstokołem.

Bieda dzisiaj to nie brak żywności, a przynajmniej rzadko. To żywność bliska terminu przydatności albo po prostu mniej wartościowa, nie tak smaczna i świeża. Zdrowa dieta to warzywa, owoce, sery, chude mięso i ryby. Wszystko to bardzo drogie. Są różne strategie przetrwania. Gotowanie zupy na korpusach kurzych, jedzenie kilku pączków dziennie. Syć jak trzeba, ale zdrowe to nie jest. Wreszcie chipsy i tym podobne świństwa, które stają się złym nawykiem żywieniowym.

Najbardziejnie poszukują nie za bardzo przeterminowanych produktów, które w sumie są jadalne, ale nie każdy się na nie decyduje.

Nie do końca wiadomo, czy ludzie niezamożni piją więcej alkoholu. Pewne jest, że piją alkohol gorszy. Na pewno jednak więcej palą. Uzależnienie od tytoniu wiąże się z mniejszą dbałością o zdrowy tryb życia. Nigdy nie zapomnę sceny przed sądem, kiedy to starsza pani, którą miałem reprezentować w sprawie o eksmisję, po częstowała mnie papierosem, a ja odparłem, że już rzuciłem. Spojrzała na mnie smutnym wzrokiem i pełnym współczucia głosem stwierdziła: „Jak mnie jest pana żal”. Dla tej ubogiej eme-

rytki papieros był jedną z niewielu przyjemności w życiu. Może gdyby mogła regularnie grać w tenisa, wyjeżdżać nad ciepłe morza i korzystać z jacuzzi, łatwiej by jej było rzucić.

Oczywiście ludzie o wielkim poczuciu wyższości oburzają się na palaczy, którzy zamiast zadbać o kupowanie zdrowej żywności, wolą wydawać na tytoń. Ale stres spowodowany niedomykaniem się budżetu domowego i niezapłaconymi rachunkami nie ułatwia rzucenia. Nie darmo ludzie w obozach oddawali chleb za papierosy. Pomagały walczyć ze strachem. A biedni wciąż się boją. Krzywego spojrzenia szefa, podwyżki czynszu czy prądu. Choroby, bo zwykle nie mają umowy i nie mogą pójść na chorobowe.

Do tego dochodzi nieustająca presja windykatorów i komorników. Bo bieda żyje na pożyczkach. Zwykle lichwiarskich. Wyobraźmy sobie, że dzieci zaprosiły kolegów i koleżanki do domu. A w trakcie wizyty wpada windykator od chwilówek i się awanturuje o kolejną cotygodniową ratę spłaty lichwiarskiej pożyczki. Dzieci się wstydzą, nie wiedzą, gdzie oczy podziać.

Najwięcej kłótni i krzyku jest o pieniądze. Dzieci domagają się kasy na lepsze ciuchy, bo nie chcą, żeby je wytykano palcami, a ojciec i matka tłumaczą, że mają ostatnie grosze na czynsz. No, dzieci przestają takich rodziców frajerów szanować. Bieda nie wyposaża w autorytet. Wzorem zostaje podwórkowy chuligan, który goniąc za lekkim chlebem, zostaje bandytą. A kiedy ich wyeksmitują pod ten adres, co to wiadomo, upokorzone dzieci wyładowują swą złość na skrzynce na listy czy kłacie śmietnika. Nie idą już do lepszej szkoły. Ich szkoła, podobnie jak innych wyeksmitowanych tu sąsiadów, staje się ulica.

Cóż, bieda niestety nie uszlachetnia. Młodzi wychowani w kulcie pieniądza, którego wciąż brakuje, staczają się szybko.

Nie trzeba być głodnym, żeby czuć się nędzarzem, kiedy brakuje ci kasy na to, na co inni mają. Bieda jest względna. Bieda to rozwarstwie-

nie. Tam gdzie są wielkie różnice, pojawia się bezradność. Trudno bowiem pomarzyć o pięknym, drogim samochodzie, nie mówiąc już o mieszkaniu.

Ci, co próbowali, wiedzą, że ciężka praca nie popłaca. Pozwala co najwyżej przetrwać, nie ma jednak perspektywy awansu, zarabiania kilka razy więcej niż minimalna, wyrwania się z kręgu zadłużeń i zająć komorniczych. Nowa lepsza praca pozwala się tylko wolniej zadłużać.

Można jeszcze spróbować zasuwać w kilku miejscach. Ale to dobre dla młodych. Sąsiad po pięćdziesiątce, który po służbie w ochronie sędził segregować śmiecie, dostał zawalu i już po sąsiedzie. Biedni żyją krócej. Niekoniecznie z przepicią. Głównie z nerwów i przepracowania.

Rzadko ktoś biednych żałuje. Uważamy zwykłe, że zasłużyli na swój los, bo nie dość się starają. Oni sami często podziwiają ten pogląd. Bo do głowy im nie przyjdzie, że to вина niesprawiedliwego podziału dochodu narodowego. Są raczej skłonni winić siebie, bo tak im od dzieciństwa wmawiają.

I dopiero kiedy uda się dotrzeć do umysłów milionów, że tego względnego ubóstwa, stresu finansowego upokorzenia doznaje większość społeczeństwa, może zakiełkować myśl o buncie.

PIOTR IKONOWICZ

One Big Shit

Trump zmierza do nowego niewolnictwa

W niedzielę 6 lipca Jarosław Kaczyński podczas konferencji na polsko-niemieckim przejściu granicznym Rosówek-Rosow zapowiedział projekt ustawy określającej listę krajów, z których Polska nie będzie przyjmować obywateli. Jak podkreślił, podobne rozwiązania są „w świecie stosowane, chociażby przez USA”. Ojciec chrzestny Prawa i Sprawiedliwości wezwał także do przeprowadzenia referendum w kwestii sytuacji na polsko-niemieckiej granicy. Ciekawe, że Kaczyński wspominał akurat o Stanach Zjednoczonych, bo Donald Trump przyklepał właśnie glejt, który z imigrantów zrobi podludzi.

(Nie)podległość

Tegoroczny Dzień Niepodległości w USA z pewnością zapisze się na kartach historii. W dniu święta narodowego amerykański szef szefów podpisał One Big Beautiful Bill – licząc blisko tysiąc stron ustawę budżetową będącą zwińczeniem katastrofalnych zmian, jakie republikanie spod znaku MAGA wprowadzili w rządzie USA w ciągu ostatnich miesięcy.

Mówiąc w dużym skrócie, ustawa kontynuuje cięcia rozpoczęte, gdy tylko Trump dobrał się do rządowego pańnika. Mowa chociażby o zgilotynowaniu 890 mld dol. z programu Medicaid w ciągu najbliższych 10 lat oraz około 230 mld dol. z Supplemental Nutrition Assistance Program (SNAP), który zapewnia pomoc żywnościową najuboższym Amerykanom.

Senator demokratów Raphael Warnock nazwał nowy plan budżetowy transferem bogactwa z dołu na górę i socjalizmem dla bogatych. Nie bez powodu – ustawa zabetonowała wprowadzone w 2017 r. gigantyczne ulgi podatkowe dla najbogatszych i defekujących kasą korporacji. To nie wszystko.

Projekt przewiduje zwiększenie dofinansowania na „egzekwowanie prawa imigracyjnego”. Blisko 52 mld dol. na budowę muru na granicy (ponad trzykrotnie więcej, niż Trump wydał na mur za swojej pierwszej kadencji), 45 mld zielonych na centra detencyjne Służby Imigracyjnej i Celnej (ICE), co oznacza wzrost budżetu detencyjnego o 265 proc. i 29,9 mld dol. na działania samej agencji. Jeśli te liczby nie robią na kimś wrażenia, to dla zobrazowania antyimigranckiej histerii Trumpa warto przytoczyć słowa Aarona Reichlina-Melnika z Amerykańskiej Rady Imigracyjnej, który podsumował hojny deszcz rządowej mamony i stwierdził, że ustawa przyznaje

ICE więcej funduszy niż FBI, Agencji Antynarkotykowej (DEA), Biuru Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych (ATF), US Marshals oraz Biuru Więziennictwa razem wziętym. Tym samym – jak podkreślił Reichlin-Melnik – założenia ustawy uczynią ICE największą federalną agencją egzekwowania prawa w historii narodu.

To preludium do kontynuacji ksenofobicznych planów Trumpa w tej materii. Od reszty marszczy się dupa.

Pomarańczowa erekcja

27 czerwca w USA zapadł wyrok w sprawie Trump przeciwko Court Appointed Special Advocates (CASA). CASA to organizacja non profit, która wspiera dzieci w systemie opieki zastępczej, zapewniając im wsparcie wolontariuszy i prawników w procesach sądowych.

Ostatnia sądowa potyczka stowarzyszenia z Trumpem dotyczyła rozporządzenia wykonawczego prezydenta USA ze stycznia br., które zniosło tzw. prawo ziemi, czyli automatyczne nadawanie obywatelstwa amerykańskiego osobom urodzonym na terytorium USA, a konkretnie ograniczenia ogólnokrajowych nakazów sądowych, które blokowały wprowadzenie tego rozporządzenia.

Sąd Najwyższy zrobił dobrze Trumpowi i orzekł, że takie nakazy wykraczają poza uprawnienia sądów federalnych. Tym samym SN zakwestionował to, co dotychczas w Ameryce wydawało się nienaruszalne: konstytucyjną gwarancję obywatelstwa przez urodzenie oraz praktykę stosowania ogólnokrajowych nakazów sądowych, które od dekad pozwalały zatrzymać niekonstytucyjne działania rządu federalnego.

Przykładowo w lutym administracja Donalda Trumpa podjęła kroki w celu zniesienia tymczasowego statusu ochronnego (Temporary Protected Status, TPS) dla przebywających w Stanach Zjednoczonych Haitińczyków, co oznacza ni mniej, ni więcej masową deportację. TPS jest (a przynajmniej był) przyznawany przez rząd USA obywatelom krajów, w których konflikty zbrojne, klęski żywiołowe czy inne poważne kryzysy uniemożliwiają bezpieczny powrót na łono ojczyzny.



ILUSTRACJA: KRZYSZTOF OLEJNIK

Decyzję rządu o pozbawieniu pół miliona Haitińczyków wspomnianego statusu blokowały właśnie sądy federalne. Wszystko wskazuje na to, że świeże postanowienie Sądu Najwyższego w sprawie Trump-CASA skutecznie usunie federalną przeszkodę w deportacjach.

Gates of hell

Obozy detencyjne dla imigrantów, na których utrzymanie i rozwój przeznaczono spory kawałek finansowego tortu, to placówki będące częścią Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego (DHS). Poza ICE pieczę nad obiektami sprawują prywatne firmy, takie jak GEO Group czy CoreCivic, które czerpią z tego tłustą kasę.

Obozy służą do tymczasowego przechowywania obcokrajowców, którzy oczekują na rozpatrzenie wniosków

o azyl, deportację czy pozostałe decyzje sądowe dotyczące statusu prawnego. Liczne raporty wskazują, że placówki są przeludnione, panują w nich koszmarnie warunki sanitarne, dostęp do opieki medycznej jest praktycznie żaden, a przypadki naruszeń praw człowieka to smutna codzienność.

Do czerwca 2025 r. w obiektach tych przetrzymywano ok. 56 tys. imigrantów, chociaż pojemność ośrodków szacowano na 41 tys. łóżek. To ma się wkrótce zmienić, naturalnie wcale nie na lepsze.

Dzięki zastrzykowi finansowemu administracja Trumpa planuje rozwój infrastruktury detencyjnej do 116 tys. łóżek. I to w nie byle jakich lokalizacjach. Jeszcze w styczniu Trump podpisał rozporządzenie o przygotowaniu (nazwijmy rzecz po imieniu) pierdła dla 30 tys. imigrantów na terenie bazy wojskowej w Guantanamo. W planach

jest wykorzystanie pozostałych obiektów wojskowych jak chociażby Niagara Falls Air Reserve Station w Nowym Jorku czy Homestead Air Reserve Base w Miami. Na początku lipca media obiegły zdjęcia prezydenta wizytującego „aligatorowe Alcatraz”, ośrodek detencyjny na Florydzie, zlokalizowany na terenie opuszczonego lotniska wśród mokradeł Everglades. Trump chwalił wybór miejsca, twierdząc, że wbrew protestom ekologów ośrodek wzbogaci mokradła zamieszkałe przez aligatory i pytony. Co więcej, przedstawił je jako wzór do naśladowania w całym kraju.

Żeby nie narazić się na posadzenie o bezduszość, administracja Trumpa zaplanowała też w kicach specjalne miejsca dla rodzin z dziećmi – np. w South Texas Family Residential Center w Dilley, które pomieści 2,4 tys. dusz.

Arbeit macht frei

Amerykański historyk, profesor Uniwersytetu Yale Timothy Snyder w esejie opublikowanym na swojej stronie internetowej zwrócił uwagę, że placówki będą kusić warunkami do wykorzystywania niewolniczej pracy. Snyder ostrzega, że może to być moduł planu Trumpa, który w odpowiedzi na obawy o brak chętnych do ciężkiej i kiepsko płatnej roboty sugerował, że administracja znajdzie sposób, by przywrócić pracowników na pola i place budów, oddając ich we władanie tych, przez których są zatrudniani. Prezydent nazwał tę ideę „odpowiedzialnością właściciela”. Kiepsko się kojarzy, prawda? I słusznie.

W zamierzonych czasach na południu USA panował system, który pozwalał płacić grzywny za skazańców, a następnie wykorzystywać ich niewolniczą robotą do mitycznego momentu spłaty długu. Widywane w filmach i kreskówkach scenki skutych kajdanami na nogach grup więźniów machających kilofami czy łopatami to właśnie obraz pracy przymusowej stosowanej w okresie wojny secesyjnej i na początku XX w. Tzw. gangi łańcuchowe były sposobem na generowanie zysków dla stanów i prywatnych firm, a przy okazji – realizacji po tanioci projektów infrastrukturalnych.

Obecnie, według niezależnego Instytutu Polityki Ekonomicznej, spośród 1,2 mln osób osadzonych w stanowych i federalnych więzieniach, blisko 800 tys. to więźni robotniczy pracujący w samych zakładach lub rządowych przedsiębiorstwach. Około 3 proc. z nich już zasuwają dla prywatnych pracodawców za psie pieniądze.

Pomysł Kaczyńskiego póki co tak się mają do zakusów Trumpa jak prawo do sprawiedliwości. Niemniej, obydwoj prawnicowi ultrasi nie dążą do jakiegokolwiek rozwiązania problemu z nielegalną imigracją, a jedynie do spolaryzowania i zastraszenia społeczeństwa oraz stworzenia wroga, z którym prawica będzie mogła udawać, że walczy. Schematy i narzędzia zaś, które w międzyczasie wypracują, w przyszłości będą mogły służyć do dalekich od pierwotnych celów.

IDALIA DUBICKA

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ Gdy ten numer „NIE” trafi do kiosków, będziemy obchodzić 82. rocznicę krwawej niedzieli na Wołyniu. Tego dnia ukraińscy nacjonaliści zaatakowali przeszło 100 polskich wsi i bestialsko zamordowali ponad 8 tys. cywilów. O postrzeganiu ludobójstwa na Wołyniu we współczesnej Ukrainie mówi w tygodniku „Przegląd” poseł Tadeusz Samborski (PSL): *Opowiadał mi były konsul we Lwowie, że przyszedł kiedyś do niego wiekowy Ukraińiec, który napisał książkę o relacjach polsko-ukraińskich w czasie wojny, i zapytał, czy konsulat mógłby mu pomóc w jej wydaniu. „Proszę przynieść maszynopis, zobaczymy”, otrzymał odpowiedź. Przyniósł. Po paru dniach się spotkali. I konsul mu mówi: „Proszę pana, pan opisuje, jak pacyfikowaliście polską wieś, mordowaliście”. A on na to: „Panie konsulu, tylko trzy wioski. Inni wymordowali po kilkanaście!”. Nie miał poczucia winy, poczucia wstydu. Tłumaczył to tym, że dla Polaków to był „czas umierania”. W rozmowach z Ukraińcami teza, że to był „czas umierania”, powtarza się często. Jest książka „Mój wołyński epos”, napisał ją Leon Żur, naoczny świadek mordów (...). W tym*

oddziale, który napadł na [jego] wioskę, był student czwartego roku medycyny we Lwowie. Miał dziewięć – lubił wyjmować ludziom serca, jeszcze drgające. Rozłożył tego księdza i on go toporkiem naciął... A Żur był gdzieś tam na sianie w stodole ukryty, widział to. Po latach pojechał w tamte rejony. Z kamerzystą. Chodził po tej wiosce cały dzień, od domu do domu, pytał, czy pamiętają jego rodziców, dziadka, jak zginęli... Ukraińcy w geście przyjaźni zorganizowali wieczorem ognisko i doszło do wspomnień o tym tragicznym wydarzeniu. Opowiadali, że kiedy księdza rozłożyli, siadły mu na rękach dwie siostry, sanitariuszki w tym oddziale UPA. One były na tym ognisku i to opowiadały – że siedziały. Kamerzysta wtedy nie wytrzymał i rzucił: „To przecież uczestniczyliście w zbrodni!”. A jedna z nich na to: „To był czas waszego umierania”.

★ O ukraińskim ludobójstwie traktuje też wydana kilka dni temu książka znanego kompozytora i potomka Wołyniaków Krzesimira Dębskiego pt. „Wołyń. Nic nie jest w porządku”. Cytujemy fragment po-

święcony dzisiejszej Ukrainie: 60 procent Ukraińców uważa Stepana Banderego za największego bohatera Ukrainy. (...) Tuż przed napaścią Putina na Ukrainę grałem z muzykami jazzowymi koncert w Tarnopolu. W centrum miasta wysokie kamienice były obleczone od dachu do ziemi w nacjonalistyczne flagi, tak jak robili to hitlerowcy. Kiedyś, jak jechałem do Kisielina, widzieliśmy bojówkę z granatnikami. W ramach ćwiczeń strzelali w lesie. Wszyscy mieli banderowskie proporce na mundurach. Ten nacjonalizm przybierał bardzo różne formy. Innym razem widziałem kilkuset młodych Ukraińców przebranych w mundury SS Galizien. Maszerowali w centrum Kijowa i śpiewali swoje pieśni.

★ Rolę państwowego krzewiciela kultu Bandery i Szuchewycza sprawuje powołany w 2007 r. (na wzór polskiego IPN) Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej. O jego nowym dyrektorsie pisze na łamach „Do Rzeczy” Maciej Pieczyński: 27 czerwca rząd powołał na ten fotel Oleksandra Alfiorowa. (...) [który

związany był] ze środowiskiem „Azowa”. Przypomnijmy, że było to środowisko radykalnych nacjonalistów (a nawet narodowych socjalistów) ze wschodniej części kraju. Rosyjskojęzycznych, ale antyrosyjskich. „Azow” w odróżnieniu od galicyjskich nacjonalistów bardziej niż do spuścizny OUN-UPA odwołuje się do tradycji Rusi Kijowskiej. Szczególnie z okresu sprzed przyjęcia chrztu – „azowcy” łączyli rasizm i antysemityzm z neopogaństwem. (...) Nie oznacza to jednak, że Banderego i Szuchewycza odrzucają. (...) Nowy szef UIPN bronił nie tylko UPA czy OUN, lecz także SS-Galizien.

Jak wiadomo, jesienią 2023 r., w obecności weterana tej formacji, kanadyjski parlament odznaczył Zełenskigo. Wybuchł skandal, bo prezydentowi ta obecność bynajmniej nie przeszkadzała. Kajali się jedynie Kanadyjczycy, gdy światowa opinia publiczna uświadomiła im ich błąd. Nad Dnieprem natomiast broniono nawet nie tyle Zełenskigo, ile esesmanów. (...) Do chóru „obrońców esesmanów dołączył Alfiorow. Jego zdaniem przekonanie o zbrodnicy charakterze SS to „sowiecki mit”.

MAREK SANOWSKI
Ukraina.tygodniknie@gmail.com



Rys. TOMASZ WOŁOŻYŃ

eprasa.pl 9301a70345

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Młodzi na potęgę ulegają laicyzacji. To także efekt infantylnego podejścia do zachowania dzieci w kościele. **Od 20 lat mamy do czynienia z powszechnym pozwoleniem na róbta co chceta w czasie Mszy. Brak nauki, czym jest Liturgia, skutkuje jej odrzuceniem.**

ks. Daniel Wachowiak, X, 27 czerwca

■ **Ruch Obrony Granic posiada dziś taką samą wartość jak Solidarność w czasach komunizmu w Polsce.** To oddolny ruch obywatelski. Dziękuję, że jesteście!

o. Jacek Dąbrowski, X, 4 lipca



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

■ Walka o młodych trwa. I trwać będzie do końca świata. **W każdym razie, kiedy widzimy, że wielu młodych odchodzi od Kościoła, to nie martwmy się o przyszłość Kościoła. Martwmy się raczej o przyszłość owych młodych, którzy bez odniesienia do Boga stają się łatwym łupem różnych coraz bardziej ogłupiających ideologii.**

o. Dariusz Kowalczyk SJ, opoka.org.pl, 30 czerwca

■ Ostatecznie jednak wiara dzieci i młodzieży nie jest kwestią jakichś edukacyjnych technik, ale stanowi tajemnicę ludzkiego serca, w którym człowiek przyjmuje lub odrzuca Boga. A odrzuca m.in. z powodu działania widzialnych i niewidzialnych sił zła. (...) Jednym z nich jest propagowana przez potężne media seksualizacja. **Młody człowiek zniewolony przez pornografię, skutecznie zachęcany do rozpórzycia seksualnego ze zmieniającymi się partnerami, oddala się od Kościoła. I jeszcze mu się wmawia, że w ten sposób staje się wolny.**

dalej Kowalczyk

■ Minister edukacji nie czuje żadnego związku z narodem polskim, nie chce być przedstawicielką tego ministerstwa i wprowadza swoje obyczaje rodem z Brukseli i rewolucji neobolszewickiej. (...) **Chodzi o to, żeby zniszczyć człowieka, odebrać młodym ludziom godność dziecka Bogoego, ale również godność, ogólnie rzecz biorąc, człowieka.**

Barbara Nowak, Radio Maryja, 28 czerwca

■ **Budapesztańska parada LGBT, w której mimo zakazu Viktora Orbána wzięło udział 200 tys. osób, przywołuje na myśl dialog Abrahama z Bogiem w sprawie Sodomy.** Gdzie tych kilku sprawiedliwych, którzy mogliby ocalić miasto? **Zgnilizna moralna ma bowiem to do siebie, że podobnie jak zwykła zgnilizna rozpoczyna się od małej plamki, by szybko pochłonąć cały owoc.**

Maciej Górnicki, red. portalu Opoka, opoka.org.pl, 2 lipca

■ Skąd się biorą wojny, skąd niepokój, w naszym życiu osobistym, w naszych rodzinach, w naszych społeczeństwach i środowiskach, w których żyjemy? Skąd się bierze również niepokój w Polsce? (...) **Najgłębszym źródłem niepokoju, jaki odczuwamy w nas i wokół nas, jest brak wiary.**

ks. bp W. Lechowicz, homilia, Watykan, 3 lipca

KLECHA

Życie seksualne

Duchowni katolicy mogą być wzorem miłowania bliźniego swego

W Polsce występuje ponad 31 tys. księży i zakonników. Hydraulików ci u nas ponad 81 tys. Dlatego więc nic nie słyszymy o seksualnych ekscesach ludzi od przepychania rur?

W Kościele katolickim każda dusza warta jest zbawienia. Nawet jeśli droga do tego zbawienia prowadzi przez łóżko i plebanie. Szczególnie zaś wtedy, gdy dusza jest kobieca, rozdarta, pogubiona i gotowa – niestety nie do sakramentu, lecz do uległości.

Szepty i krzyki

Ks. Paweł F. z diecezji kaliskiej swoją pasję do nawracania realizował nieco inaczej niż reszta kolegów po koloratce. Zamiast głosić Słowo Boże, wołał je szeptać do ucha jednej parafianki. A zaczęło się – jak to zwykle bywa w duszpasterstwie – od pielgrzymki. W 2017 r. Iwona wyruszyła z grupą do Częstochowy, szukając duchowego wsparcia. I znalazła. Księdza. Uśmiechniętego, elokwentnego, skłonnego do zwierzeń, a z czasem – również do dotyku.

Rok później, urzeczona jego „duchowymi konferencjami”, wybrała go na spowiednika. To był moment, w którym zaczęła się klasyczna krzywa duchowo-psychologiczno-seksualna. Wzloty – rozgrzeszenia, wspólne modlitwy, objęcia. Upadki – gąszenie światła na plebanii, rozbieranie się z wątpliwości i bielizny, a na koniec – sądowy wyrok.

Ks. Paweł nie działał w pośpiechu. Osaczał z wyczuciem. Najpierw pogłębiona analiza małżeństwa penitentki, pytania o życie intymne, ulubione pozycje seksualne i rytm współżycia. Potem – diagnoza duszpastersko-psychoerotyczna: „nie masz pragnień seksualnych, musimy nad tym popracować”. Recepta – codzienne nieprzyswoite wiadomości i natychmiastowe ich kasowanie.

W międzyczasie ksiądz odwiedzał rodzinę Iwony, jadł obiady i rozmawiał z dziećmi, bo był przyjacielem domu. Tak bliskim, że potrafił dopytywać Iwonę, jak długo trwał ostatni stosunek z mężem.

W jakiej pozycji? Czy była satysfakcja? Czy można coś poprawić? Całość duchowej opieki zwieńczona została rytuałami: trzymaniem jej dłoni na swoim kroczu, wkładaniem języka do ust, kładzeniem na łóżku i prośbą o „zaspokojenie”.

W zamian oferował duchową transformację. I to tak intensywną, że kobieta zaczęła nazywać go „tata”, sprzątać mu plebanie, robić zakupy dla jego starzejących się rodziców i – co już mniej wzniosłe – okaleczać się w samotności. Gdy prawda wyszła na jaw, mąż Iwony zebrał nagrania, odczyty wiadomości i wyznania. Pojechał do księdza, spojrzał mu w oczy i zapytał: „Jak, będąc przyjacielem domu, mógł ksiądz zrobić coś takiego?”. Odpowiedzi nie usłyszał. Ale sąd – już tak.

W 2022 r. Paweł F. usłyszał zarzut „nadużycia seksualnego stosunku zależności”. Sąd uznał go winnym. Osem miesięcy więzienia w zawieszeniu na dwa lata. Ksiądz się odwołał. Przegrał. Ale Kościół nie. Proces kanoniczny trwa do dziś. Paweł F. wciąż jest księdzem.

Kontakty o charakterze

W Kościele katolickim istnieją trzy powołania: do życia w celibacie, do pracy z młodzieżą oraz do nagłego znikania na hasło „prokurator”. Ks. Tomasz B. znał wszystkie. I dokładnie w tej kolejności.

Proboszcz z poznańskiego Osiedla Warszawskiego nie był byle kim. Oprócz stania przy ołtarzu i głoszenia prawd wiary pełnił zaszczytną funkcję duszpasterza młodzieży. Kiedy nagle złożył rezygnację z probostwa, parafianie wpadli w konsternację. W odróżnieniu od kurii, która najwyraźniej konsternację ma wpisaną w statut. Bo według oficjalnej wersji ksiądz po prostu „poprosił o zwolnienie”.

Potem wyszło, że były „kontakty o charakterze seksualnym” z 15-latką, parafianką. Czyli wszystko, co zdaniem Kościoła powinno zostać poddane głębszej refleksji duchowej.

Rodzice dziewczyny byli pierwsi zachwyceni. Proboszcz to przecież wzór. Zapraszał, rozmawiał, interesował się. A że rozmowy z czasem przypominały bardziej lekcje edukacji seksualnej niż katechezę – cóż, widocznie Bóg dał mu talent duszpasterski, który obejmował też pytania typu „co czujesz, kiedy...”.

Kolega księdza – być może po intensywnych modlitwach i konsultacjach z własnym sumieniem – w końcu złożył zawiadomienie. I wtedy wszyscy się posypało. Kuria zaczęła „analizować”. Policja zaczęła „zabezpieczać materiały”. A proboszcz – pakować walizki.

Wersja wydarzeń według Kościoła: „czekamy na wyniki dochodzenia”. Wersja wydarzeń według rzeczywistości – dziewczyna już zeznała, są nagrania, a duszpasterz młodzieży okazał się specjalistą od szybkiego przechodzenia od liturgii do logistycznego planowania spotkań indywidualnych.

Ks. Tomasz przez 30 lat kapłaństwa przemierzał Wielkopolskę – od Grodziska po Gostyń. Wszędzie zostawiał po sobie wspomnienia, kołеды i ewentualne wiadomości do skasowania. Teraz przebywa w nieznanej lokalizacji. Może w klasztorze. Może w sanatorium. Może w miejscu, gdzie nikt nie pyta o wiek znajomych z Messengera.

Posługa pogłębiona

We Wrocławiu na Popowicach działała wspólnota o nazwie „Umilowany i umiłowana”. Nazwa cokolwiek prorocza. Bo oto jej wieloletni duszpasterz – profesor teologii, specjalista od małżeństwa i rodziny – postanowił rozwinąć duszpasterstwo w nieco bardziej cielesnym kierunku.

Ks. Kazimierz, który z równą łatwością cytował Ojców Kościoła, jak i prowadził wykłady o nierozzerwalności małżeństwa, zapragnął wcielić wiedzę w praktykę. I wcielał – regularnie, z zaangażowaniem i wielokrotnie. A wszystko to z parafianką, która przyszła po pomoc i dostała posługę pogłębioną. Bo jak nieść pocieszenie, to od razu z intencją i pełnym zaangażowaniem. A że kobieta była dorosła i niezarađna, to – jak wiadomo – duchownemu wolno więcej. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Umowa o dzieło (boże)

Praca za Bóg zapłać najkrótszą drogą do zbawienia

Opus Dei (Dzieło Boże) to organizacja skrywająca wiele tajemnic. Te, które wychodzą na jaw, nadają się dla prokuratury. Argentyński oddział „katolickiej masonerii” boryka się właśnie z tamtejszym wymiarem sprawiedliwości, który zarzuca mu nieludzkie traktowanie pracownic. „Nieludzkie” nie oznacza bowiem automatycznie „boskie”.

Sprawa jest znana w argentyńskich mediach od lat, ale formalnie toczy się od 2024 r. Postępowanie obejmowało dotychczas czterech księży, którzy pełnili funkcje kierownicze w Opus Dei w latach 1991–2022. Są to: Carlos Naneti, Patricio Olmos, Víctor Urrestarazu i Gabriel Dondo. Oskarża się ich o to, że w latach swojego urzędowania sprawowali nad kobietami w liczbie 43, żeby zaprzężyć je do niewolniczej pracy w ośrodkach tajnego bractwa. Dziewczyny w wieku 12–16 lat były nęczone wizją darmowej edukacji i możliwości dalszego rozwoju edukacyjnego i zawodowego, a zamiast tego musiały pracować księżowskie gacie, gotować im i myć kible. Za friko – po kościelnemu „za Bóg zapłać”. Niewolnicza pra-

ca w ośrodkach Opus Dei wiązała się z życiem na wzór zakonnego: dziewczyny musiały zachowywać wstrzeźliwość seksualną, zerwać więzi rodzinne, nie mogły korzystać z mediów, problem był nawet z pójściem do lekarza. W końcu jedna z wykorzystywanych, Boliwijka, stwierdziła, że nie na taki deal się z klechami umawiała, i na nich doniosła.

Do tej czwórki wspaniałych mentorów młodych dziewcząt dołączyła gruba ryba: Mariano Fazio Fernández – wikariusz pomocniczy prałatury personalnej Opus Dei, czyli człowiek

ze ścisłego kierownictwa organizacji, osoba numer dwa. Opus Dei ma w Kościele kat. uprzywilejowaną pozycję prałatury personalnej, czyli trochę państwa w państwie. Jego członkowie rządzą się swoimi prawami, lokalni biskupi mogą im nagwizdać.

Papież Franciszek w 2023 r. postanowił ukrócić rozpuszczonych jak dziadowski bicz opusdeistów i zmienił prawo kościelne dotyczące prałatur personalnych (a Opus Dei jest aktualnie jedyną istniejącą).

Dzieło Boże jest teraz w restrukturyzacji wymuszonej reformą Franciszka. Raport z postępów tej restrukturyzacji zdał niedawno nowemu papieżowi szef Opus Dei wraz ze swoim pomocnikiem, Marianem Fazio. Leon XIV przyjął ich na jednej z pierwszych audiencji, jakich w ogóle udzielił, co może oznaczać że utempe-



Rys. TOMASZ WATIER

rowanie „katolickiej masonerii” jest jednym z watykańskich priorytetów.

Mariano Fazio, opusdeistowska szczyha, będzie się więc tłumaczył nie tylko przed papieżem, ale i sądem. Postać to w swoim fachu wybitna: doktor filozofii, były rektor Uniwersytetu Świętego Krzyża w Rzymie oraz przewodniczący Konferencji Rektorów Rzymskich Uniwersytetów Papieskich, autor licznych książek. W ubiegłym roku wystąpił z wykładem na KUL-u, gdzie pomstował nad odrzuceniem Boga i Kościoła przez współczesny świat, co jest powodem kolejnych nieszczęść dla całych społeczeństw. – Żyjemy w czasach szybkiej i silnej sekularyzacji, a indywidualizm, hedonizm i relatywizm to choroby zsekularyzowanego społeczeństwa – biadał na uczelni, która wydała Czarnka (ale i Hartmana).

W przeciwieństwie do bezbożnego indywidualizmu i hedonizmu wierchuszka Opus Dei proponuje swoim członkom, zwłaszcza żeńskim, pobożny kolektywizm i ascezę. Bezpłatna praca na chwałę Pana i pożytek panów z Dzieła zdolne są wypełnić pustkę, którą przyniosą takie zbytki jak chodzenie do lekarza czy kontakt z rodzicami. Niewdzięczne niewolnice, które złożyły Judaszowy pocałunek na policzkach księży z Opus Dei zapewne jeszcze tego pożałują – zwłaszcza tego, że wyrwały się z piekła za późno.

Przedstawiciele Opus Dei nie widzą w swoim zachowaniu niczego zdrożnego, dziwią się stawianym im zarzutom i twierdzą, że cała sytuacja jest wyrwana z kontekstu. Księża zapewniają, że widziały gały, co brały, i nie ukrywały przed nikim, że wstąpienie na drogę doskonałości duchowej w ramach Opus Dei wiąże się z wieloma wyrzeczeniami. Wiadomo, każda 12-latka na świecie marzy o tym, żeby usługiwać starym dziadom, a zabawa lalkami jest gdzieś na szarym końcu listy priorytetów.

MK

kleru

Kiedy w 2024 r. nagle zniknął z parafii, wierni pytali: „Gdzie ksiądz profesor?”. A potem msza, komunikat, tajemnica. I jak to bywa w Kościele – dopiero z mediów wyszło, że chodzi o seks. A dokładniej: o seks „podstępny i wielokrotny”. Choć nie „wymuszony”.

Zakon oblatów zawiadomił Watykan. Powołano komisję. Duchownego wyeksponowano do miejsca odosobnienia, gdzie „przebywa pod nadzorem władz kościelnych”. Niby nie klasztor, ale wiadomo – nie można ryzykować, że znowu kogoś umiłuje.

Pasja pomiarowa

„Duchowny z pasją” – tak o Dominiku R. mówiono w parafii. I rzeczywiście: pasję miał. Do pracy z młodzieżą, do salki katechetycznej i do „pomiarów ciała” prowadzonych w sposób, który raczej nie mieścił się w żadnym podręczniku do religii.

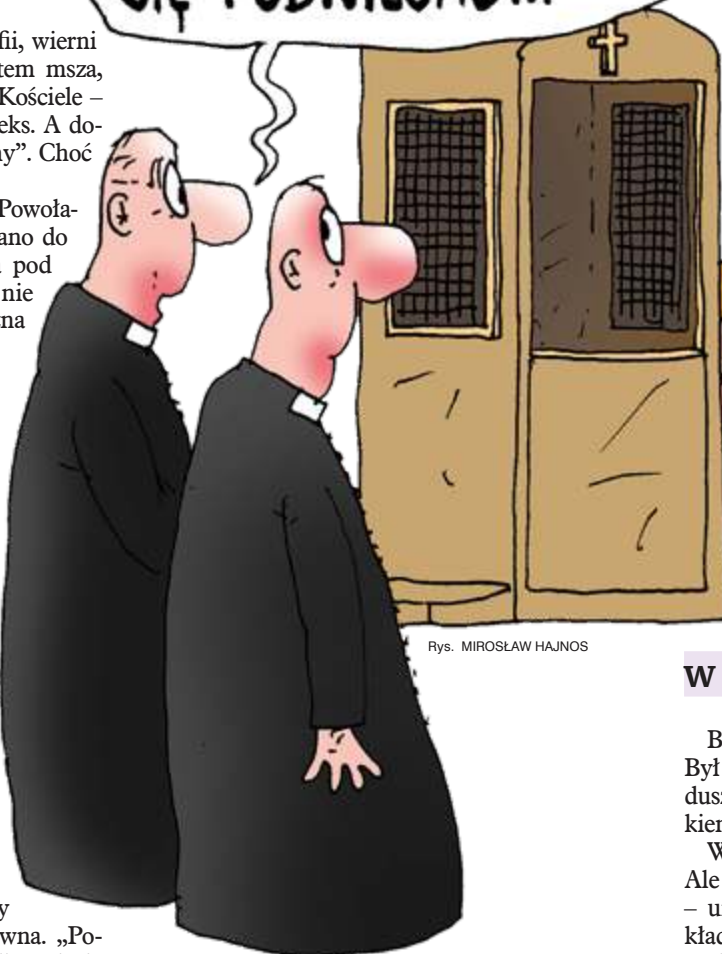
Sąd w Rzeszowie nie miał wątpliwości: pięć lat więzienia, system terapeutyczny, dożywotni zakaz kontaktów z dziećmi i edukacją. Dominik R., 34-latek, był duszpasterzem, czyli kimś, kto w teorii miał chronić młodych, a w praktyce kolekcjonował ich zdjęcia i wspomnienia.

Wszystko działo się w parafii św. Stanisława w Boguchwale. A skoro święty patronował, to i posługa była... intensywna. „Pomiar sylwetki” jednego z chłopców odbywał się przy zamkniętych drzwiach i otwartym telefonie komórkowym. 16-latek – nagi, pouczany, instruowany – stał się elementem osobistego archiwum duchownego.

Aresztowano księdza w maju 2024 r. W telefonach: filmy, zdjęcia, młodzież. A więc wszystko, co w Kościele powinno się nazywać „materiałem dowodowym”, ale zwykle kończy jako „trudna sprawa do rozeznania”. Kuria, jak przystało, dwa dni później odcięła się od problemu, zawiesiła duchownego i wysosowała notatkę o „smutku i modlitwie”.

Kara – pięć lat – to mniej więcej tyle, ile potrzeba, żeby znowu nikt nie pamiętał, kim był Dominik R.

SPOWIADAJ TY!
MI LEKARZ ZABRONIŁ
SIĘ PODNIECAĆ...



Rys. MIROSLAW HAJNOS

Sąd dołożył jeszcze alimenty: po 80 tys. zł dla trzech ofiar, po 15 – dla dwóch kolejnych. Dominik R. teraz będzie się leczył. Nie z grzechu. Z „preferencji seksualnych”. Jakby to był jakiś gust, a nie przestępstwo w sutannie.

Poetyckie zranienie

Ks. Mieczysław oddawał się również swoim własnym potrzebom. Szczególnie tym emocjonalno-dotykowym, których nie da się uzasadnić cytatem z św. Augustyna, ale które w Kościele przechodzą z pokolenia na pokolenie niczym stuła.

Kiedy w mediach ukazały się informacje o dziewczynach, które duszpasterz młodzieży chciał całować, łapał za piersi i zasypywał SMS-ami z pogranicza ewangelizacji i porno-poezji, wielu wiernych wpadło w konsternację.

Ale nie kuria – ta miała już od dekady gotowy scenariusz: chwilowe zawieszenie, odwołanie z funkcji, a potem miękkie lądowanie w Caritasie.

Bo ksiądz nie wypadł przecież z zakrystii wczoraj. Był rzecznikiem arcybiskupa, dyrektorem radia, duszpasterzem młodzieży, a ostatnio – pełnomocnikiem ds. wykluczonych.

W 2010 r. sprawę zgłoszono do prokuratury. Ale że nie dotyczyła osoby poniżej 15. roku życia – umorzono. Moralność Kościoła ma však dołącznie 15 lat. Poniżej – grzech śmiertelny. Powyżej – niezręczność. I jeszcze zniszczono akta, żeby nie zawałyły półek.

Dziś, po 15 latach, ksiądz przeprosza. Publicznie. Pisz o „głęboko niewłaściwym odnoszeniu się”, o „zranieniach psychiki” i „przekroczonych granicach”. A żeby wszystko wyglądało na prawdziwe nawrócenie, ogłasza powołanie... ośrodka dla młodzieży. Finansowanego przez niego samego. Którym kierować będzie – a jakże – Kościół.

Serce, umysł i ciało

W jednym ręku różaniec, w drugim – telefon z aplikacją randkową, w której zakonnik

przedstawia się jako pracownik firmy eventowej. W rozmowach, które dziennikarze prowadzili pod przykrywką z pijarem, zakonnik używał swobodnego języka, flirtował i wprost zapraszał do kontaktów seksualnych. Wielokrotnie deklarował gotowość na „całonocne i całodniowe zabawy”, opisywał sytuacje, w których „był ruchany przez parę z Monachium” lub „fistowany w hotelu naprzeciwko Axel w Berlinie”.

Pijarska szkoła zakonna, w której rzeczonego duchowny nauczał cnót, kształtowała „serce, umysł i ciało” zgodnie z maksymą Stanisława Konarskiego, naprawdę miała wszystko: nowoczesne podejście do młodzieży, kameralne klasy i duchowego przewodnika, który – jak pokazuje śledztwo dziennikarskie – doskonale rozumiał młodych. Przynajmniej tych z klubów gejowskich w Lizbonie.

W programie wychowawczym: wartości chrześcijańskie, patriotyzm i wspólnota. W prywatnym życiu zakonnika: fisting, GHB (kwas gamma-hydroksymasłowy, substancja używana w tzw. chem-seksie – red.) i „całodniowe zabawy”.

Oczywiście zakon zareagował: „będą konsekwencje”. Jak zwykle – po publikacji w lubuskich mediach. Do tego czasu dominował święty spokój i wzniosłe hasła o „integralnym kształceniu młodego człowieka”.

Koneser gry

Księża, jak wiadomo, mają powołanie. Jedni do duszpasterstwa, inni do siłowni, a niektórzy – jak się okazuje – do „miłości klasycznej, francuskiej i niekoniecznie we dwoje”. Tak właśnie miał proboszcz z Lubowic: człowiek modlitwy, ambony i aplikacji randkowej. Rano kazanie, wieczorem chemia, choć bez przesady – nie miał przecież własnego lokum.

Zdemaskowali go parafianie. Poznali po tatuażach, zegarku i charakterystycznych uszach. To, co nie przebiło się przez ornaty w niedzielę, wyszło na jaw w internetowej dżungli. Tam ksiądz był „koziorem, okazjonalnie pijącym, biseksalnym koneserem gry wstępnej”. Cóż, każdy ma swoje hobby. Jedni zbierają znaczki, inni – deklaracje o braku „kilku kilogramów za dużo”.

W końcu ksiądz się przyznał. Publicznie, z ambony, ze skruczą. Poprosił o modlitwę i odszedł „do biskupa”, co w kościelnym dialekcie oznacza urlop w diecezjalnym domu pokutnym. Nikt wprawdzie nie wie, czym różni się pokuta od zwolnienia warunkowego, ale na pewno ma mniej formularzy.

TOMASZ BOROWIECKI

KAI nowe plemię

Bratobójcza walka w kolebce dezinformacji

Biskupi znaleźli ważniejsze zajęcie niż walka z pedofilią kleru. Niedawno opisywaliśmy, jak uwalili komisję mającą się zająć nadużyciami klechów, tymczasem ekscelencje nie ustają w trudzie pogrążania się. Uznali, że ich własne medium jest zbyt wyszczekane i należy ten proceder ukrócić. Bo wiadomo: jeśli problem nie jest opisany w mediach, to nie istnieje.

Biskupi w agencji

Katolicka Agencja Informacyjna (KAI) nie kojarzy się z oazą wolności słowa, miejscem dyskusji, polemiki, krytyki czy medium opiniotwórczym. Zresztą agencje nie temu mają służyć – są przede wszystkim od publikowania depesz, które przetwarzają potem inne media. KAI powstała w 1993 r. dokładnie w tym celu: aby informować o wydarzeniach z życia Kościoła kat. w Polsce i na świecie, a także by prezentować stanowisko episkopatu w tej czy owej sprawie. Miał to być element otwartości na nową rzeczywistość i media, oczywiście w wydaniu specyficznym, bo kruchtowym. Naturalnie kościelna agencja nie powstała po to, aby klerowi brudzić, toteż skupiała się na informacjach dla Kościoła pozytywnych lub neutralnych, dyskretnie przemilczając mniej wygodne fakty bądź też przedstawiając je w świetle wypracowanym w kuriach biskupich. I tak to sobie hułało ponad 30 lat.

Pierwszym i jedynym dotychczas prezesem KAI był Marcin Przeciszewski. Był, bo podał się do dymisji, a ta została przyjęta. Nie podobają mu się zmiany, które zamierza wprowadzić w agencji episkopat, zmierzające do zlikwidowania jej i tak wątpliwej autonomii. Samo to, że pion propagandy biskupi powierzyli nie klekse, a zwykłemu człowiekowi, nie jest takie oczywiste. Równocześnie to, że Przeciszewski przez trzy dekady utrzymywał się na stołku, świadczy o tym, że przesadnie niewygodny nie był. KAI przynosiła zyski, szła po linii episkopatu, więc współpraca układała się bez większych przeszkód. Ludzie, jak to zwykle w inicjatywach przykościelnych, pracowali za psi chuj, wierząc, że służą dobrej sprawie i czeka ich nagroda w niebie, więc na ziemi można wbijać zęby w ścianę. Pucowali pastorały w poczuciu misji, która okazała się misją samobójczą, bo to, co wyprawiają funkcjonariusze kościelni, jest nie do obrony. Dojście do tego zajęło im ponad trzy dekady, prawie tyle, ile istnieje „NIE”, które od początku opisywało, co się naprawdę w Kościele święci.

Dymisja prezesa

Ostatnimi laty KAI pozwalała sobie na coraz więcej, co biskupom się nie podobało. „Coraz więcej” to nie jest nawet minimum tego, co powinno być publikowane, ale dla ekscelencji i tak za wiele. Agencja pod wodzą Przeciszewskiego zaczęła wrzucać na swoją stronę informacje o pedofilach w sutannach, nie pomijając przy tym wszelkie oficjalnych tłumaczeń rzeczników diecezji, do czego jest statutowo zobligowana. Mimo wielkiej lojalności wobec mocodawców, atmosfera w tym związku zaczęła się pogarszać. Samo pojawianie się newsów o drapieżnikach seksualnych w sutannach podawane na stronie mającej w za-

łożeniu budować pozytywny obraz Kościoła, jego władzom bardzo nie przypadło do gustu i poczęli kombinować, jak by tu agencję przywrócić do ustawień fabrycznych.

Dla kleru nie ma rzeczy niemożliwych (poza wypłatą odszkodowań ofiarom księży). Toteż gdy biskupi zebrali się niedawno w Katowicach, nie tylko zdusili w zarodku komisję ds. pedofilii, ale także wykarczowali resztki wolności słowa na własnym podwórku. Choć wolność słowa i Kościół to oksymoron, zawsze znajdą się tacy, co uważają, że pisanie prawdy pomoże w „oczyszczeniu” tej instytucji, co jest mrzonką, ale dla niektórych – jak każda utopia – atrakcyjną.

Aby zakneblować wyrywanych dziennikarzy KAI, biskupi wymyślili konsorcjum medialne pod wodzą reżimnika Konferencji Episkopatu Polski – jezuitę Leszka Gęsiaka.

NIE MAMY
DOSTĘPU DO MEDIÓW



Rys. TOMASZ WINTER

w Katowicach, kiedy podczas obrad biskupów rozwiązano zespół kierowany przez prymasa, a którego zadaniem miało być utworzenie komisji do badania przypadków wykorzystywania seksualnego (...) Nasi biskupi poszli w kierunku zamykania się. Zwierania szeregów. Zamiast próbować zrozumieć ten gwałtownie zmieniający się świat i tłumaczyć innym jego zawiłość, powstał pomysł, by wprowadzić unifikację mediów i głosić tylko jeden słuszny przekaz.

Na przeczekanie

Przeciszewskiego jakoś nam nie szkoda, bo tkwił w tym bagnie po uszy przez 30 lat i dopiero po tym – niejako przymuszony – zabrał zabawki z piaskownicy i zaczął mówić ludzkim głosem. To standardowa przypadłość ludzi najpierw długo związanych z Kościołem, a następnie burliwie się z nim rozwodzących. Ameryki nie odkrywa, na mężczyznę papierów nie ma. Ma za to już 66 lat, więc miękko ląduje na emeryturze. Znamienne i symboliczne są natomiast kolejne decyzje episkopatu co do pionu propagandowego. Aby odmłodzić zespół i odświeżyć przekaz, na nowego prezesa wybrano... 74-letniego dominikanina Stanisława Tasiemskiego, dotychczasowego członka zarządu KAI.

My tu sobie robimy podśmiejchujki, a może w tym szaleństwie jest metoda. Strategia na przeczekanie wcale nie jest taka głupia dla instytucji z wielowiekowym doświadczeniem trwania mimo zawirowań. Przecież w najgorszym (dla biskupów) razie za dwa lata do władzy znowu dojdzie prawica w wersji turbo z własnym prezydentem. TVP Kurskiego to będzie BBC przy tym, co nam zgotują jego następcy. Biskupom głupio byłoby mieć w swoim portfolio media bardziej krytyczne wobec Kościoła niż państwowe, więc KAI idzie w odstawkę.

MATT KOBOSKO

Kraj z powyłamywanymi drogami

Ministerstwo Infrastruktury, miast myśleć o drogach, woli deliberować o szybkich rozwodach.

Każdy odpowiedzialny za polskie drogi wie, co ma robić. Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad zarządza ruchem na autostradach i drogach ekspresowych. Marszałkowie województw – na wojewódzkich. Starostowie – na drogach powiatowych i gminnych. W sumie – 331 organów. A do tego minister infrastruktury nadzoruje drogi krajowe, a wojewodowie – wszystkie pozostałe. W sumie 348 podmiotów odpowiedzialnych za to, żeby kierowca nie wjechał w słupek, nie pomylił pasa i nie pomyślał, że na autostradzie obowiązuje 30 km/h.

Na wszelki wypadek

Zgodnie z literą prawa znak drogowy powinien pojawić się po zatwierdzeniu przez organ zarządzający projektem organizacji ruchu. Ale to, kto nim jest, zależy od tego, gdzie jest. W Warszawie – może być to dyrektor ZDM. W Pcimiu Dolnym – starosta, który pełni funkcję z doskoku, między obiadem a komisją budżetową.

W czterech z 18 skontrolowanych przez NIK samorządów dochodziło do sytuacji, gdzie autor projektu sam go zatwierdzał, a następnie go sobie wdrażał.

W Koluśkach znak ograniczenia prędkości do 20 km/h ustawiono na 800-metrowym, prostym jak stół odcinku drogi technicznej. Pytani o przyczynę urzędnicy odparli: „dla bezpieczeństwa”. Tyle że nie podali czyjego.

W Dęblinie znak nakazu skrętu w prawo skierowano w stronę pustego pola. Na pytanie mieszkańca o sens takiego oznakowania, gmina odpowiedziała, że to „rozwiązanie czasowe”, choć tablica stoi tam już trzeci rok.

W Skierniewicach znak informujący o drodze bez przejazdu ustawiono 15 m za wjazdem. Kierowcy dowiadują się więc, że zabrnęli w ślepią uliczkę wtedy, gdy nie mają już dokąd zawrócić.

W gminie Dobra ustawiono zakaz postoju od poniedziałku do soboty w miejscu, gdzie nie ma ani jednej firmy, domu, czy żywej duszy. Oznakowanie umieszczono na wszelki wypadek, gdyby ktoś kiedyś jednak tam coś zbudował.

Pod Wrocławiem przez kilka tygodni obowiązywały jednocześnie: ograniczenie do 30 km/h., nakaz skrętu w lewo, zakaz skrętu w lewo, droga z pierwszeństwem i ustąp pierwszeństwa – wszystkie przy jednym skrzyżowaniu.

Przykład z warszawskiego ronda Zgrupowania AK „Radosław” – 147 znaków i niemal 200 kolizji – nie jest wyjątkiem. W całym kraju na skutek nadmiaru, złego ustawienia lub braku znaku dochodzi do tysięcy sytuacji niebezpiecznych. W samym 2023 r. Polska miała 52 wypadki drogowe na milion mieszkańców – o 31 więcej niż Szwecja i o osiem

więcej niż średnia unijna. Ale państwo nie widzi związku między chaosem oznakowania a wypadkowością. Za to doskonale widzi kierowców. Bo za przekroczenie prędkości – gdy znak ograniczenia jest zasłonięty przez cokolwiek – o 71 km/h mandat wynosi 5 tys. zł.

Zagajnik zabudowany

W państwie, które przez 25 lat nie potrafiło ustalić, kto ma prawo postawić znak, tenże właśnie znak stał się najpotężniejszym urzędnikiem. Może zabrać prawko. Może wlepić 5 tys. zł kary. Albo może zmusić do skrętu w drzewo. I nikt nie wie, kto go tam postawił. NIK apeluje, prosi, wskazuje. Minister ignoruje. Wojewoda śle maile. Samorządowiec śpi. A kierowca? Płaci. Bo w Polsce znak drogowy nie ostrzega. On zaskakuje.

Na 31 proc. odcinków dróg mamy zasłonięte znaki. Na 21 proc. – wprowadzające w błąd. NIK doliczyła się co najmniej tysiąca znaków postawionych niezgodnie z przepisami, dzięki którym kierowcę można jednak ukarać.



Rys. BARTŁOMIEJ BELNIAK

Są takie znaki drogowe, które ostrzegają. Są takie, które informują. I jest znak D-42, który zarabia dla państwa. I nikt nie ma zamiaru go powstrzymać. A zwłaszcza minister infrastruktury z PSL, dla którego znak D-42 to nie pułapka, tylko złota kura.

Oznacza on początek terenu zabudowanego. Ale wystarczy, że nie zauważyłeś, że wjechałeś do wsi – której jedyny przejaw cywilizacji to przystanek i żarzewiała tablica – i jechałeś dziewięćdziesiątką bez świadomości, że to aglomeracja – dostajesz 2 tys. zł mandatu. Jak masz 10 km/h więcej – odajesz prawo jazdy. Bo znak stał. A że schowany za billboardem? Ze w lesie? Ze 700 m od pierwszego domu? Nie szkodzi. Stał.

W pierwszych dziewięciu miesiącach 2024 r. liczba wypadków drogowych wzrosła o 7 proc. w porównaniu do roku poprzedniego. Polska zajmuje 23. miejsce w Unii Europejskiej pod względem liczby wypadków na milion mieszkańców. Za nami tylko Rumunia i Bułgaria. Ale dla ministra odpowiedzialnego za infrastrukturę i nadzór nad ruchem system działa. Bo przynosi kasę. Wszak przekroczenie w terenie zabudowanym prędkości o ponad 50 km/h skutkuje mandatem do 2500 zł i zatrzymaniem prawa jazdy na trzy miesiące.

Minister infrastruktury okazał się figurantem doskonałym. Przez większość kadencji nadzór nad 18 tys. km dróg krajowych sprawował w jego imieniu jeden pracownik. A przez trzy dni w roku tenże pracownik urządził sobie objazd. Z wyliczeń NIK wynika, że pełny objazd zakończyłby w 2036 r.

Minister nie prowadził analiz, nie zbierał danych, nie znał efektów działań wojewodów, nie miał informacji o stanie oznakowania. I nie widział potrzeby zmian w prawie, bo – uwaga! – nikt mu nie napisał, że coś jest nie tak.

Ministerstwo nie prowadziło badań, nie zbierało danych, nie ustalało standardów. Zresztą – nie miało do tego narzędzi. Minister ograniczył się do odpowiadania na pytania wojewodów.

Kończ, waść!

Ale zdaniem Ministerstwa Infrastruktury – a przynajmniej tej jego frakcji, która trzyma się klamki peeselskiego ministra jak kierownicy

WORD-ów (wojewódzkich ośrodków ruchu drogowego – red.) własnych stołków – największym zagrożeniem dla bezpieczeństwa drogowego nie są pędzące TIR-y, nie są zdezelowane drogi, nie są nawet wiejskie skrzyżowania bez widoczności. Są nim manewry na parkingu przed hipermarketem. Albo wjazd w ciasną bramę. Albo – to już nowość – próba ominięcia nieprawidłowo zaparkowanego auta. Jeśli w tym czasie, nie daj Boże, najechałeś na podwójną linię ciągłą – koniec. Egzamin oblały. Za coś, co w realnym ruchu wykonuje 90 proc. kierowców, kursant ma powtarzać podejście do prawka, gdyż WORD-om się to opłaca. I to dlatego egzaminatorzy tak wymyślili. A minister Klimczak postanowił, że przyłoży pieczęć i podpis, nie zadając zbyt wielu pytań. Więc w tabeli nr 9 rozporządzenia jest zapis: „najechanie na linię ciągłą – wynik negatywny”.

Taki zapis przeszedł mimo głosów sprzeciwu ze strony samorządów, branży transportowej i ekspertów. Bo tak postanowili: pan z WORD-u w Tarnowie, prezes Rady Głównej Krajowego Stowarzyszenia Egzaminatorów, szef Stowarzyszenia Dyrektorów WORD, a także przedstawiciele OSK (ośrodków szkolenia kierowców – red.) i lobbysci z Polskiej Izby Gospodarczej OSK. Ludzie, którzy decydują o tym, ile razy kursant ma zdawać egzamin. I ile razy płacić.

Bo podejście do egzaminu kosztuje. Do teoretycznego – 50 zł. Do praktycznego – 200 zł. Za trzecim razem – 600 zł. Za dziesiątym – 2000 zł. Tyle że statystycznie zdaje się w Polsce za czwartym lub piątym razem. A są rekordziści, którzy podchodzili ponad 40 razy. Każde podejście to kasa dla WORD-u, etaty dla egzaminatorów, nowe służbowe auta, premie i utrzymanie systemu, który działa wyłącznie po to, by wyłudzać.

W Polsce nadal trzeba pokonywać koperty i łuki na placu manewrowym. Nikt inny w Europie – poza Łotwą – tego nie robi. Międzynarodowe gremia już 15 lat temu uznały, że płac nie zwiększa bezpieczeństwa. Ale WORD-y go kochają. Bo pozwala oblać najtaniej. Nie trzeba jechać w miasto, nie trzeba zużywać paliwa, nie trzeba narażać się na zmienne warunki.

Ministerstwo Infrastruktury jeszcze niedawno planowało badanie porównawcze rozwiązań w UE. Ale gdy zorientowano się, że wyniki będą jednoznaczne – że płac to nonsens – badanie zniknęło. Link do zamówienia publicznego już nie działa. Oficjalne plany też nie wspominają o analizie.

W 2024 r. Polacy zapłacili ponad 90 mln zł w samych opłatach za egzaminy. Tysiące kursantów nie zdało nie dlatego, że nie umieli jeździć, ale dlatego, że system chciał, by nie zdali. Bo tylko wtedy przynosią zysk.

Peeselska infrastruktura to automat do łupienia. Znaki drogowe i szkolenie kierowców są nie po to, po co je wymyślono, ale po to, żeby za wszelką cenę wyciągnąć z obywatela kasę. Utwierdzając go w przekonaniu, że czy rządzą ci, czy inni, państwo było i jest największym złodziejem.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Ach, Łódź! Miasto meneli i poetów. Od jesieni, drodzy obywatele, będzie wam dane doświadczyć prawdziwej wolności. Wolności od alkoholu między godz. 22.00 a 6.00. Na razie na siedmiu osiedlach. Aż 64 proc. Łódzian w porwybie obywatelskiej inicjatywy postanowiło wziąć sprawy w swoje ręce i wyrwać z nich butelkę – przynajmniej sąsiadowi. Demokracja w pełnej krasie! Czarny rynek zacie-ręce, melina szykuje zapasy. Brawo, Łódź! Krok wstecz, ale za to jaki zdecydowany!

■ W Radomiu, kolebce lotnictwa i... nocnych libacji, radny Robert Chrobotowicz z Koalicji Obywatelskiej wzbudził się na wyżyny, proponując ograniczenie sprzedaży alkoholu w godzinach nocnych. Wzięcia radnego była szczytna: dniówka przy kieliszku, a nocne na regenerację przed kolejnym dniem pracy. Niestety, Radomianie w odróżnieniu od Łódzian okazali się przywiązani do tradycji i swobody zakupów. 466 osób poparło inicjatywę radnego, natomiast 636 wyraziło sprzeciw, zadając tym samym bolesny cios ambicjom Koalicji Obywatelskiej. W Radomiu wódka nadal będzie dostępna bez ograniczeń ku uciesze mieszkańców i rozpacz radnego Chrobotowicza.

■ Olkusz, perła Jury Krakowsko-Częstochowskiej, stał się areną zaciętej walki z pluszowymi Pokemonami! Dzielni funkcjonariusze Wydziału Kryminalnego KPP w Olkuszu zabezpieczyli aż 17 sztuk niebezpiecznych pluszaków towarowych. Groźne Pikachu i inne futrzane potwory trafiły do policyjnego areшту, gdzie czekają na swoje procesy. Mieszkaniec powiatu olkuskiego, domniemany przemytnik pluszowej kontrabandy, zapewne drży o swój los. Stróżę prawa z poważnymi minami badają sprawę, próbując odpowiedzieć na fundamentalne pytania, skąd pochodziły zabawki i czy stanowiły zagrożenie dla narodowego bezpieczeństwa. Akcja przypomina dowcipy o milicjantach z PRL, tylko tym razem to nie dowcipy.

■ Pisz. Eksplozja odbiła się szerokim echem w mediach. Terrorysty? Atak rakietowy? Nie. Winowajcą okazał się odświeżacz powietrza. Niewinny spray, który stoi w każdej toalecie. Siła eksplozji była tak ogromna (przynajmniej sądząc po zdjęciach), że można ją porównać do wybuchu bomby atomowej. Lokatorka mieszkania powstała jednak z martwych, co jest cudem na skalę biblijną. Policja apeluje o ostrożność w obchodzeniu się z odświeżaczami. Ja bym poszedł o krok dalej: zakazać ich sprzedaży. A przy okazji dezodorantów też, bo przecież niszczą warstwę ozonową.

■ Do szpitala w Gorzowie Wielkopolskim trafił ambitny 11-latek, który postanowił zrobić błyskotliwą karierę na TikToku. Połknął petardę w ramach internetowego wyzwania. Niestety, petarda nie eksplodowała. Wielka szkoda!

Wtedy byłaby naprawdę widowiskowa historia i milion lajków muirowany. Lekarze po fachowej radzie stwierdzili, że zaczekają, aż młody influencer sam petardę wywali. Obecnie stolec chłopca jest pod baczną obserwacją. Pojawiają się zakłady, kiedy nastąpi wyciekłwana eksplozja. Ordynator chirurgii przestrzega przed dalszymi próbami spożywania petard i innych materiałów wybuchowych. Nie wszystkie dadzą się bezproblemowo wypróżnić. Operacyjne usuwanie granatu zaczepnego mogłoby nie tylko popsuć humor chirurgom, ale również zmusić ich do nieprzyjemnego migania się od pracy, ze względu na drobne zagrożenie wybuchem na sali operacyjnej.

■ Warszawa. Na Plac Zbawiciela powróci tęcza. Tym razem w wersji 2.0, bardziej wytrzymała, bardziej tęczowa i bardziej kosztowna. 700 tys. zł zapłacą Warszawiaczy za metalową konstrukcję w kolorach tęczy, odporną na ataki wandalii i fanatyków. Pomysł wyciągnął aktywista Linus Lewandowski ze stowarzyszenia o nazwie (uwaga!) Homokomando. Projekt zdobył poparcie 6811 mieszkańców (aż 11 proc. głosów!), co w demokracji oznacza zwycięstwo zmiażdżone. Architekt Marcin Osicki подарował prawa autorskie do tęczy miastu, zapewniając sobie miejsce w pantheonie bohaterów warszawskiej architektury. Nowa tęcza ma przetrwać wszystkie przeciwności losu. W przeciwieństwie do swojej poprzedniczki, która przez trzy lata była systematycznie podpalana.

■ Zakopane, stolica narciarskiego luksusu i oscypków po 80 zł, zmaga się z głodem. Dlatego też przy ul. Spyrkówka 20a stanęła

łodówka społeczna, czyli taki rodzaj całodobowego GS-u dla ubogich. Inicjatywę wspiera pół miasta, łącznie z Tesco (pewnie przece-nionymi parówkami). Na razie lodówka pęka w szwach, ale poczekamy do sezonu. Wtedy turyści zaczną wyjadać biednym ostatni kawalek chlebaka. Z innej strony: ciekawe, skąd władzom Zakopanego przyszło do głowy, że ktoś tam głoduje? Może pomylili głód z pragnieniem, bo na wodę mineralną za 15 zł to już naprawdę niewiele stać.

■ Ponad 1500 mieszkańców gminy Solina domaga się zbiorowego mordu na wilkach i niedźwiedziach. Żeby mieć czyste sumienie, chcą zgody z góry. Złożyli petycję do premiera Tuska o „redukcję” chronionych drapieżników. Czasy się zmieniają, mechanizmy nie. Gdyby nie Hitler, nikt w Niemczech nie tknąłby Żyda. Dziś bez zgody Tuska nikt nie tknie wilka. W Polsce żyje ok. 3000 wilków i 200 niedźwiedzi – są pod ścisłą ochroną. Ale czy prawo i przyroda znów przegrają z ludzkim łękiem i przyzwoleniem władzy?

■ Uwaga, turyści na Ziemi Augustowskiej! Szpitalowi w Augustowie grozi bankructwo przez błędy medyczne. Aż 11 mln zł roszczeń wisi nad placówką, a ubezpieczenie pokryje tylko 400 tys. zł. Czyli jak coś pójdzie nie tak, to szpital zapłaci z własnej kieszeni, a potem zamknie podwoje. 60 tys. mieszkańców zostanie na lodzie. Rada powiatu zapowiada kontrole, ale co to da? Jeśli planujecie wakacje w okolicach Augustowa i macie słabsze zdrowie, to lepiej od razu kierujcie się do Suwałk. Tam służba zdrowia jeszcze się jakoś trzyma.

■ Budowa tunelu średnicowego pod Łodzią to najbardziej opóźniona inwestycja kolejowa w Polsce. Miała się zakończyć w 2021 r., obecny termin to czerwiec 2026, ale jest zagrożony. Wykonawca – firma PBDiM – jest na skraju bankructwa. To grozi utratą 3 mld zł unijnego dofinansowania. Tunel jest inwestycją rządową realizowaną przez PKP PLK, zainicjowaną i uruchomioną w 2017 r. za rządów PiS. Od niemal 300 dni ewakuowani mieszkańcy kamienic nad budową tunelu mieszkają w hotelach. Wykonawca deklaruje, że utrzymuje lokatorów za własne pieniądze: 20 mln zł wydanych – 2 mln zł miesięcznie. Inwestycja jest niedoszaczowana. W razie upadku wykonawcy Łódź zostanie z rozkopanym miastem, a Polska będzie zwracała miliardy do UE. Kwintesencja władzy Jarosława Kaczyńskiego.

■ W Garwolinie afera! Były starosta, a obecnie wicestarosta Mirosław Walański podejrzwany jest o używanie służbowej Škody Kodiaq do celów prywatnych, w tym do wożenia dzieci do szkoły. Opozycyjni radni niczym rasowisi szpierzy wytypili „afere” i złożyli doniesienie do prokuratury. Śledztwo ruszyło, choć na razie „w sprawie”, a nie „przeciwko”. Radni szepczą, że to tylko wierzchołek góry lodowej, ale na więcej dowodów nie mają. Škoda to jedyny haczyk, na jaki udało się złapać wicestarostę. Garwolińska burza w szklance wody.

RJ

PS Powyższe wieści, zaczerpnięte z wiarygodnych źródeł, jakimi są media regionalne, mogą, ale nie muszą, mieć związek z rzeczywistością. W dzisiejszych czasach kłamstwo jest tak powszechne, że aż straciło na znaczeniu. Lista kłamców jest dłuższa niż książka telefoniczna, więc nie ma co się przejmować drobnymi przeinaczeniami.

No więc, jak to u nas jest z tym sportowym narybkiem? Powiedzmy szczerze – różnie, raczej nieszczególnie. Zwykle największy odsiew małych sportowców następuje w chwili, gdy juniorzy przechodzą do wyższej kategorii wiekowej. W seniorach nie potrafią sobie poradzić.

Nie jest to zjawisko nowe. Ja też potknąłem się na tym progu, a było to dawno temu. W juniorach Spójni Warszawa nawet nieźle sobie radziłem, w seniorach AZS – już nie i po roku treningów wykorzystałem niegroźną kontuzję jako pretekst do pożegnania się z piłką ręczną. Nie podobała mi się atmosfera w nowej drużynie, do której – jako świeżo upieczony student – byłem zobowiązany się przenieść. W piłce ręcznej atmosfera w drużynie jest bardzo ważna, często od niej zależą sukcesy. Wystarczy przypomnieć ostatnie mistrzostwa świata, w których nie dość, że dostaliśmy tegi łomot, to jeszcze doszło do incydentu z najlepszym piłkarzem Kamilem Syprzakiem, który samowolnie opuścił imprezę.

Być jak Robert Lewandowski

Działacze piłkarscy głowią się, co robić, żeby nie tracić zdolnego narybku. Młodych dobrych futbolistów u nas nie ma, a piłka nożna zamienia się powoli w przechowalnię dla utalentowanych, ale za słabych na swoją ligę Hiszpanów, Portugalczyków i przedstawicieli innych nacji. Ostatnim polskim królem strzelców Ekstraklasy był Kamil Wilczek w sezonie 2014/2015. Od tego czasu na czele tabeli zdobywców bramek w naszej lidze są tylko gracze zza granicy.

Szkółek piłkarskich jest mnóstwo. Zazwyczaj jednak są to czysto komercyjne przedsięwzięcia obliczone bardziej na zysk właścicieli niż na wychowanie następcy Roberta Lewandowskiego. Rodzice chętnie płacą, przyprowadzają swoje pociechy do szkółek, pilnują je, wyklócają się z trenerami o to, że za rzadko wypuszczają je na boisko. Nie wolno uogólniać, ale na pewno część rodziców patrzy, jakie korzyści materialne może mieć w przyszłości ich pociecha. Czytają w internecie, jak mieszkają Robert Lewandowski, czym jeździ, gdzie spędza urlop i w takiej scenarii widzą już za kilkanaście lat swojego synka. Nie trzeba dodawać, że dla większości pozostanie to niespełnionym marzeniem: albo zabraknie talentu i cierpliwości, albo wyszkolenie stać będzie na kiepskim poziomie, albo przydarzy się kontuzja.

Przyjaźnimy się z żoną z polsko-niemieckim małżeństwem. Chłopcy uczą się w polskiej szkole, oba kraje uważają za swoją ojczyznę, w obu językach porozumiewają się jednakowo biegle. Jeden z nich od małego marzył o karierze zawodowego piłkarza. Uczy się w polskiej szkole, ale na treningi poszedł do niemieckiego klubu, bo tam szkolą lepiej. Zapal w nim nie gasł, wystawiano go w coraz poważniejszych zawodach, a on kopał piłkę bez przerwy.

Teraz ma 15 lat i karierę sportową za sobą: skomplikowane zerwanie więzadeł w kolanie. Diagnoza lekarska zabrzmiiała jak w starym dowcipie o dwóch wiadomościach – źle i dobrej. Zła jest taka, że o futbolu musi zapomnieć, dobra – będzie normalnie chodzić, choć na początku i to nie było pewne.

Podczas zakończonego nie tak dawno sprawozdawczo-wyborczego zjazdu PZPN wygłoszono wiele okragłych słów. Sposzczerzenie jednego z działaczy dało mi jednak sporo do myślenia. Zauważył on, że w tej chwili najtrudniejszym momentem dla młodego piłkarza nie jest przekroczenie bariery między wiekiem junióra a seniora, lecz moment, w którym piłkarze zmieniają małe boiska na duże. Młodzicy do 13. roku życia grają według innych przepisów niż juniorzy i seniorzy. Boiska są mniejsze, zmian dozwolonych jest więcej (możliwe także zmiany powrotne), mecze trwają krócej. I to właśnie



To idzie młodość

Nie wiem dlaczego w sporcie na określenie bardzo młodych zawodników przyjęło się wędkarskie słowo: narybek.

w tym momencie gubimy wielu przyszłych piłkarzy.

Czegóż to działacze Ekstraklasy nie wymyślali, żeby zachęcić kluby do szkolenia najbardziej utalentowanej młodzieży? Przez pewien czas każdy ekstraklasowy klub był zobowiązany do wystawiania w składzie polskiego młodzieżowca. Pomysł okazał się fatalny. Owszem, młodzieżowiec grał lepiej lub gorzej, ale na ławce trzeba było mieć dla niego zastępstwo w razie kontuzji, choroby lub nagłego spadku formy. W efekcie w klubach była gromadka niegrających młodych zawodników. Jako formalni członkowie pierwszego zespołu nie mogli występować w innych rozgrywkach.

Sięgnięto po inny sposób. Drużyna bez polskiego młodzieżowca w składzie była karana finansowo. Szybko okazało się, że klub woli zapłacić karę niż wystawiać młodego zawodnika. Taniej wychodziło zatrudnienie Hiszpana albo Portugalczyka niż szkolenie swojego. Naprawdę nie wiem, jak to wygląda w tej chwili i czy ktoś jeszcze zwraca sobie głowę jakimiś młodzieżowcami. A jaki jest poziom męskiego polskiego futbolu, wszyscy wiemy. W kobiecym wygląda to trochę inaczej, choć też nie jest różowo, ale o paniach przyjdzie czas pomówić po zakończeniu mistrzostw Europy, w których pierwszy raz w historii występują reprezentantki Polski.

Czy można stworzyć prawie doskonały system szkolący piłkarzy? Zapytajcie w Anglii, Francji czy Hiszpanii. I zapytajcie też, czy w tych krajach rodzą się dzieci o innych nogach i innej wydajności płuc niż nad Wisłą.

Jeden zawodnik – jeden trener

W drużynowych mistrzostwach Europy w Madrycie polska reprezentacja lekkoatletyczna zdobyła srebrny medal. Po raz piąty z rzędu Polacy stanęli na podium tej imprezy. Czy byśmy byli taką potęgą? Jeszcze nie teraz. Lekkoatletyka jest sportem indywidualnym. Drużynowe mistrzo-

stwa kontynentu są dość specyficzną imprezą. Liczy się w niej wyrównany skład, a nie poszczególne zwycięstwa. Najważniejsze jest unikanie wpadek. A my mieliśmy tylko jedną. Paweł Fajdek spalił wszystkie próby w rzucie młotem i nie zdobył choćby jednego punktu. Jedyne, co można powiedzieć dobrego o jego występie, to fakt, że za porażkę nie obwiniał ani trenera, ani działaczy, ani tropikalnej pogody, ale wyłącznie siebie.

Zwycięstw mieliśmy niewiele, zaledwie dwa. Anita Włodarczyk wygrała rzut młotem. Przy całej sympatii i podziwie dla trzykrotnej mistrzyni olimpijskiej, czterokrotnej mistrzyni świata i wielokrotnej rekordzistki globu, trudno nazwać ją narybkiem. Drugie zwycięstwo dała naszej ekipie sztafeta mieszana 4x400 m, którą po wspaniałym biegu przyprowadziła do mety Natalia Bukowiecka, jedyna nasza medalistka (brązowa) minionych igrzysk olimpijskich w Paryżu.

O medalu Polaków w mistrzostwach Europy zdecydowało sporo miejsc w czołowej piątce, tymczasem lekkoatletyka – jak już wspominałem – jest sportem indywidualnym. Trzeba wygrywać w światowej konkurencji. Gdy podczas jesiennych mistrzostw świata dołączą sztafeta mieszana i zawodnicy z USA, Chin, Afryki i Karaibów, o medal, choćby brązowy, będzie bardzo trudno. Gdyby startowali Rosjanie, wykluczeni ze sportowej rywalizacji z wiadomego względu, byłoby jeszcze trudniej.

Na szczęście z narybkiem akurat w naszym bieganiu, skakaniu i rzucaniu nie jest najgorzej. 22-letnia Magdalena Niemczyk zajęła w Madrycie w biegu na 200 m dalsze miejsce, ale uzyskała swój drugi najlepszy czas w karierze. Jej kolega Igor Baczyński (21 lat) był na tym samym dystansie czwarty. Czwarła była w trudnym, ciasnym biegu na 1500 m studiująca i trenująca w USA Klaudia Kazimierska (23 lata). Jeszcze lepiej poradził sobie na tym dystansie 22-letni opolanin Filip Rak.

Długo mógłbym wymieniać nazwiska sportsmenek i sportowców, którzy

na razie niewiele mówią kibicom, choć niektórzy z nich pojechali już nawet po naukę na igrzyska olimpijskie w Paryżu. Oczywiście dwudziestokilkulatków trudno nazywać sportowym narybkiem. Musieli długo trenować, żeby osiągnąć poziom uprawniający do udziału w mistrzostwach Europy. Jednak fakt, że mamy sporo młodzieży, świadczy o tym, iż z tym narybkiem w klubach nie jest źle.

To wszystko ma znaczenie przed następnymi igrzyskami olimpijskimi. Jest jeszcze wystarczający czas na szlifowanie umiejętności utalentowanej młodzieży.

W polskiej lekkiej atletyce pojawiła się tendencja do szkolenia jednej zawodniczki lub jednego zawodnika przez jednego trenera, czasem matkę albo ojca, byłych lekkoatletów. Oczywiście na klubowym poziomie grupy mogą być nieco liczniejsze, ale także raczej niewielkie. Wydaje mi się, że sportowi indywidualnemu to służy.

Wędkarstwo chyba nie zna pojęcia narybku z odzysku. Piszę „chyba”, bo w odróżnieniu od wielu mężczyzn nigdy nie nakładałem robaka na haczyk; jakoś mnie to nie ciągnęło. Rybki nie da się z powrotem zagonić do ikry. Tymczasem w naszej lekkoatletyce mamy sporo dobrych zawodniczek i zawodników, którzy mają sporo sukcesów, później obniżyli poziom, a teraz wracają do formy.

Mąż Natalii, kulomiot Konrad Bukowiecki, zajął w Madrycie trzecie miejsce i nie był zadowolony ze swojego wyniku, nawet głośno przeklął, co było słychać podczas transmisji telewizyjnej. Od czasu mistrzostw Europy w Berlinie w 2018 r. nie odnosił znaczących sukcesów międzynarodowych. Do kategorii narybku z odzysku zaliczyć na pewno trzeba oszczędniczkę Marię Andrejczyk, która w Madrycie zajęła drugie miejsce, wydatnie wzbogacając punktowy dorobek naszej reprezentacji.

Blisko 30-letnia lekkoatletka, srebrna medalistka igrzysk olimpijskich w Tokio 2020 (w rzeczywistości z powodu pandemii w 2021 r.) nękana była wieloma

przypadłościami z łagodną formą nowotworu włącznie. Atrakcyjna kobieta, którą w mediach społecznościowych śledzi ponad 200 tys. obserwatorów, zasłynęła tym, że wystawiła na aukcję swój srebrny medal olimpijski. Licytację wygrała znana sieć dyskontów, a 125 tys. dol. pozwoliło wystąpić na kurację do USA ciężko chore dziecko.

Wzorowe działanie

Jest dyscyplina sportu, która zawsze może być wzorem dla innych. To piłka siatkowa. Tam na narybek chucha się i dmucha, byle nie przepaść. Trener męskiej kadry Nikola Grbić prowadzi kadrę wręcz wzorowo. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie współpraca z prezesem Polskiego Związku Piłki Siatkowej Sebastianem Świderskim.

Przed Świderskim modus vivendi siatkarskiej centrali polegał na zwolnieniu trenera kadry po ważnej imprezie i szukaniu jego zamiennika.

Świderski postawił na ciągłość. Żadnych gwałtownych ruchów. Podczas igrzysk olimpijskich w Paryżu reprezentacja przegrała finałowy mecz, zdobyła srebrny medal, ale Grbić mógł być spokojny o posadę i od razu myśleć o kolejnych igrzyskach.

W reprezentacji pojawiło się wielu debutantów. Skupię się na 20-letnim środkowym Jakubie Nowaku. Chłopak jeszcze ani razu nie odbił piłki w najwyższej lidze. Grbić znalazł go na drugim poziomie rozgrywkowym i od razu wstawił do składu w najważniejszych spotkaniach. Przecierałem oczy ze zdumienia. Chłopak z zaplecza naszej ekstraklasy w turnieju Ligi Narodów, w którym przyszło mu mierzyć się z gwiazdami światowej siatkówki, walczył jak rutyniarz, a jego bloki zasługiwały tylko na oklaski.

Niełatwo wyobrazić sobie bardziej wzorowe działanie. Ale jest to możliwe tylko wówczas, gdy szkolenie narybku, tego prawdziwego narybku, na poziomie klubów, klubików i szkół jest wzorowe, a takiego właśnie dorośliła się nasza piłka siatkowa.

Cały kraj podzielono na sektory, w każdym istnieją wspomniane ośrodki szkoleniowe. Nie są to przedsięwzięcia komercyjne, jak w futbolu, bo siatkówka nie kojarzy się z wielkimi pieniędzmi. Najlepsi trafiają do szkół mistrzostwa, gdzie nie tylko uczą się zagrywek, bloków i pająków, ale także matematyki, polskiego, historii i języka obcego.

W pewnym stopniu nasz system przypomina nieco amerykański, gdzie dzieciaki w szkołach przechodzą przez ogólnorozwojowy trening, później koncentrują się na jednej dyscyplinie, którą dalej uprawiają na studiach, zanim przejdą na zawodowstwo. Akurat w męskiej siatkówce ligi zawodowej w USA nie ma, zawodnicy wyjeżdżają do Europy lub grają w lidze uniwersyteckiej. Nigdy nie widziałem meczu takiej ligi, ale – sądząc po sukcesach reprezentacji USA – poziom musi być tam bardzo wysoki.

Myślę, że Ministerstwo Sportu i Turystyki, jeśli zajmuje się czymś innym niż polityką, powinno obowiązkowo skierować działaczy futbolu i kilku innych dyscyplin, w których szkolenie młodzieży niedomaga, na obowiązkowe kursy do PZPS. Mniej byłoby wówczas narzekania na lanie, jakie naszym sprawiają rywale.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta

Autorzy:

Przemysław Cwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Micińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:

00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i źródła wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 9.07.2025 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Sceny z życia politycznego w europejskim kraju średniej wielkości

1. Bielan pyta Kaczyńskiego: – Chciałbyś wydymać Hołownię w dupę?
Kaczyński uśmiecha się wieloznacznie.
– Wydymać w sensie politycznym... – dopowiada Bielan.

– Jeśli w sensie politycznym, to chciałbym. Wobec czego Bielan dzwoni do Hołowni.

2. Hołownia odbiera komórkę.
– Dzwoni do mnie Bob Dylan – mówi do ochroniarza.
– Nie Bob, tylko Adam, i nie Dylan, tylko Bielan – słyszy w słuchawce.
– Wiem, żartowałem...

3. Prawie północ. Osiedle Biały Kamień na Mokotowie. Apartament Bielanowej i Bielana. Na kanapie Kaczyński w sensie politycznym dyma Hołownię w dupę. Na fotelu obok siedzi Michał Kamiński z miną satyra.
– Patrz i podziwiał, jak to robi mistrz – dyszy Kaczyński.
– Patrzę i podziwiam – mówi Kamiński i odpinia spodnie. W sensie politycznym, oczywiście.

4. – Przyszedł czas, żeby pan wziął coś do ręki, panie marszałku – mówi Kaczyński.
– To? – Hołownia dotyka Kaczyńskiego i otrząsa się z obrzydzeniem.
Kaczyński szczytuje w sensie politycznym.

5. Michał Kamiński patrzy poządlwie na wciąż wypięty slot Hołowni.
– Jeżeli pomożesz nam rozwalić koalicję 13 grudnia, to w sensie politycznym będziesz sobie dymał w dupę każdego, kogo tylko zechcesz – obiecuje ze śmiechem Kaczyński.

6. – To jak się umawiamy w sprawie przecieku? – pyta Bielan.
– Tak jak mówiliśmy wcześniej: że to ochroniarze powiadomili media – odpowiada Hołownia, któremu się wydaje, że jest bystry jak Dunajec.

7. Spotkanie zmierza do końca.
– Chciałbym skorzystać z pana doświadczenia politycznego, panie prezesie – mówi Hołownia i wzrokiem spaniela spogląda na Kaczyńskiego.
Kaczyński mruczy przyzwalająco.
– Mam takiego posła, który mi bruździ – wyjaśnia Hołownia. – Nazywa się Zimoch i jest wyjątkowo bezczelny. Mówi, że u mnie w partii panuje kult jednostki. Nie wiem, co mam z tym Zimochem zrobić.
– Zlikwidować! – krzyczy Kaczyński, a crème brûlée pryska mu z ust.
– W sensie politycznym, naturalnie – dodaje Bielan.

PRZEMYSŁAW CÍWKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN niecierpliwie czeka na odchudzenie rządu. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** już nie bywa niecierpliwa.

Wołk-Łaniewska: – Trochę se poczekasz, bo Hołownia wymyślił, że jednak dopiero na następnym sejmie będą się rekonstruować...

Senyszyn: – Dla uczczenia 22 lipca najwyraźniej.

– Nie byłoby to od rzeczy. PKWN liczył 14 osób, a ten rząd konstytucyjnych ministrów ma 27; z wickami ponad setkę. Więc zmiana zdaje się rzeczywiście dość potrzebna. Ale mimo wszystko będę bronić Hołowni.
– Ciekawa jestem argumentów, bo też mam kilka.

– W zeszłym tygodniu napisałam, że Hołownia powinien zostać premierem, bo jest bardziej lubiany niż Tusk, a potem wyjechałam do Londynu, a on pojechał do Bielana na kolację z Kaczyńskim i teraz mam dwa wyjścia. Albo odszczekać, albo iść w zaparte.
– No nie zgadnę, które wybierzesz...

– Widzisz, jaka jesteś nieprzenikliwa? Ale tak serio: krytycy Hołowni są jego najlepszymi obrońcami. Jak niejaka posłanka Bodnar – wyjątkowej lotności niewiasta skądinąd – która wystąpiła w telewizji i ogłosiła, że odchodzi z Polski 2050, bo Hołownia „chciał niejako wprowadzić Prawo i Sprawiedliwość na salony”, co jej „przełało czarę goryczy”, bo pisowcy „nie powinni być traktowani jako równorzędny partner”. PiS dostało 7,6 mln głosów w wyborach sejmowych i 10,6 w wyborach prezydenckich...

– Wcale nie PiS dostało, tylko kandydat obywatelski.

– A, sorry, zapomniałam. W każdym razie pani Bodnar, która przerznęła z kretelem wybory na prezydenta Wrocławia, przegrywając 3:7 z oskarżonym Sutrykiem, nie jest może osobą, która powinna odbierać największej partii opozycji prawo do funkcjonowania w życiu publicznym.

– Ale do stołu byś z nimi nie siadała?

– Ze starą Bodnarową?
– Nie, ze starym Kaczyńskim.

– Nie. Z Bielanem i Miśkiem Kamińskim też nie. Ale nie jestem politykiem, mogę sobie towarzyszy biesiad wybierać wedle sympatii (widzimy się w sobotę). Jasne, że Hołownia nie powinien być biesiadować z nimi pod osłoną nocy na kwadracie Bielana, bo było oczywiste, że się wyda – ale ogólny koncept, że marszałek sejmu nie ma prawa rozmawiać z liderem opozycji, wydaje mi się... Jak by to powiedzieć... Nie za bardzo – jakie to było słowo? – demokratyczny.

– Co nie zmienia faktu, iż wygibasy Hołowni są żalosne. Słyszałam opinię – zgodną z twoim postulatami – że Hołownia robi różne dziwne ruchy, żeby zostać premierem, ale ja tego nie kupuję. Bo, czego by o nim nie mówić, nie jest kretynem. Jak się jest premierem, to trzeba zasuwac, a za tym on ponoć nie przepada. Marszałek sejmu mu znacznie bardziej odpowiada: druga osoba w państwie, która otwiera i zaszczyca...

– To oryginalne oświadczenie z twojej strony. Odkąd tak kochasz Platformę?

– Wracz przeciwnie: nadal nie znoszę, stąd uważam, że nie zasługuje na żadnych koalicjantów. Skoro Tusk tak się upiera przy premierowaniu, to niech ma rząd mniejszościowy i negocjuje każdą ustawę z trzema niezależnymi klubami. W ten sposób choć część ich postulatów ma szansę na realizację.

– Ja akurat uważam, że nikt nie powinien mieć żadnych wicepremierów i ministrów, poza Platformą.

– To oryginalne oświadczenie z twojej strony. Odkąd tak kochasz Platformę?

– Wracz przeciwnie: nadal nie znoszę, stąd uważam, że nie zasługuje na żadnych koalicjantów. Skoro Tusk tak się upiera przy premierowaniu, to niech ma rząd mniejszościowy i negocjuje każdą ustawę z trzema niezależnymi klubami. W ten sposób choć część ich postulatów ma szansę na realizację.

– A propos premiera: Sadura i Sierakowski piszą w magazynie „Wyborczej”, że „najdalej za sześć lat nie będzie ani Tuska, ani Kaczyńskiego”. Chyba nie można wykluczyć, że Tuska nawet wcześniej, bo ostatnio coś traci głowę. Dał się Konfederacji podejść jak dziecko i bez żadnego powodu zarządził tymczasowe kontrole na granicy z Niemcami i Litwą. Nic się nie dzieje, przekroczeń mniej niż w analogicznym okresie za rządów PiS, a Tusk robi prezent nacjonalistycznej prawicy, spełniając jej bezsensowne żądania. A powinien zarządzić zatrzymanie kontrolerów od Bąkiewicza.

– Ubawił mnie do łez chodzący po necie filmik klubu bokserskiego Gromda specjalizującego się w walce na gołe pięści. Gromadka wydzierganych chłopaków w kominarkach, ale za to bez koszul, a z przodu neandertalczyk z patriotycznym przekazem: „Bronimy polskich granic, żeby żaden brudas nam się na krzywy ryj nie wpięrlolił. Do wszystkich opalonych pseudoinżynierów: wchodźcie tutaj, do naszego kraju, na własną odpowiedzialność”. I na koniec tablica: „Gromda. Nie ma miękkiej gry”. Myślę, że premier też by mógł sobie takie hasło wyfasować: „Donald. Nie ma miękkiej gry”.

– Byłoby pięknie.

– Prawda?

– A tak może być wesoło, bo ponoć Kaczyński kombinuje przewrót już jesienią. A Nawrocki chce dosłownie zarzucić sejm projektami ustaw, z których część to będą obietnice wyborcze koalicji 15 X.

– Jak te o aborcji i związkach partnerskich, to będę mu kibicować.

– Sierakowski i Sadura mają w tej sprawie inną przepowiednię. Chyba, bo ich tekst to intelektualny bełkot: „Zwycięstwo Nawrockiego zwiastuje narodziny nowej prawicy charakteryzującej się radykalnym populizmem konserwatywnym, który łączy martyrologicznie rozumiany patriotyzm z antyelitarną retoryką i autorytarnymi impulsami”. Przypomniało mi to pytanie wymyślone przez przedwojennego satyryka Franciszka Fiszerę: „Czy chaotyczne kombinacje efemerycznych pryncypiów są w stanie zdeterminować neutralną cywilizację absolutu zła i dobra?”...

– Nie, albowiem ferszlus trzeba roztrajbować, bo droselklapa tandetnie zblindowana i ryksztosuje.

– To też, tylko że to Tuwim.

– No i tak nam ten Hołownia zawrócił w głowie, że nie zdążyłam ci opowiedzieć, że zakochałam się w Londynie...

– W mężczyźnie napotkanym w Londynie?

– Nie, w mieście Londyn. Opowiem za tydzień.

– Wprost się nie mogę doczekać.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI